

# AS



Nr. 36

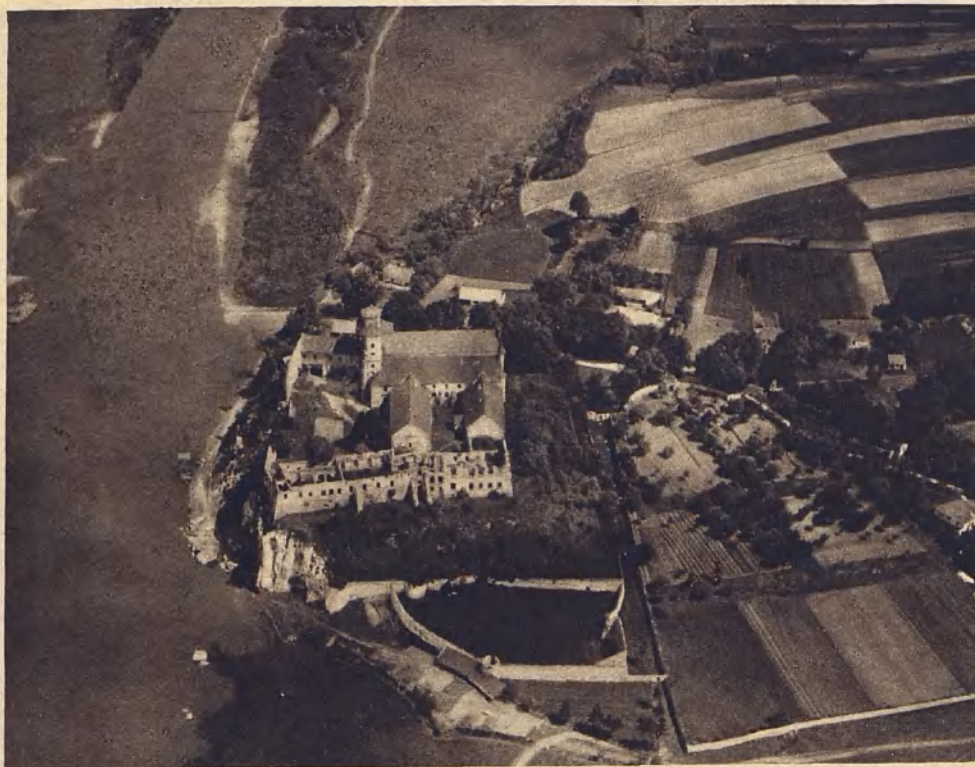
4 WRZEŚNIA 1938 R.  
CENA 40 GROSZY

**BALETNICA**

Rosemary Lane na ile  
obrazu E. Degas'a.



## Z PRZESZŁOŚCI TYŃCA



Przenieśmy się w okolice położoną m. w. 12 kilometrów na zachód od miasta starożytnego Tyńca. Uroczysko to zaiste miejsce, jedno z najciekawszych pośród tylu innych przepięknych zakątków okolicy Krakowa i to zarówno dzięki niezwykle malowniczości położeniu na stromej skale nadwiślańskiej, jak i nie mniej dzięki swej niezmiernie odległej i interesującej przeszłości. Krakowianie, a zwłaszcza młodzi harcerze, kajakowcy i wioślarze, często obierają Tyńca jako cel swych wycieczek. Najlichniesze masowe pielgrzymki pieszo, wozami lub statkami, odbywają się tu co roku w dniu 29 czerwca, w którym przypada tu wielki odpust patronów kościoła św. Piotra i Pawła. Warto bodaj w krótkich słowach wspomnieć o przeszłości tego miejsca, tak bardzo odległej, że ginie ona w pomroku romantycznej legendy.

Samą już nazwa Tyńca jest niezmiernie starożytną. Pochodzi ona od prastarego polskiego wyrazu tyn albo tynina, oznaczającego tyle co ogrodzenie. Tyńca zatem nie był niczym innym, jak miejscem ogrodzonym, zamkniętym, warownym, czyli poprostu zamkiem lub grodem. Nazwa ta wiązała się wszakże w czasach zamierczliwych nie z miejscem na skale nad Wisłą, gdzie w nurcie jej przegłębia się stary, dwuwieżowy kościół i przyległy doń, sławny ongiś na całą Polskę, klasztor zakonu Benedyktynów, dziś zamieniony rękami czasu w zupełną ruinę. Nazwę Tyńca nosiło zapewne już w czasach przedziejowych wyniosłe, panujące nad okolicą wzgórze zwane dotąd Grodziskiem, położone na zachód od kościoła i ruin, wyniesione na ok. 70 metrów nad poziom Wisły. Jest ono w rzeczywistości rozległym przedhistorycznym grodziskiem, obecnie zalesionym, co spowodowało, iż dotąd jeszcze naukowo nie było badane. Okolone szeregiem stromych wzniesień, bagnami i szerokim łukiem Wisły, musiało być istotnie wprawdzie siedzibą pana czy księcia tych okolic. Do dziś dnia wzgórze to zachowało widoczny zarys owalnego, okazałego grodziska o sztucznie wyrównanej powierzchni, otoczonej wałem, przypłaszczonym z biegiem stuleci. Mogło tu na górze, otoczonej bagnami, pomieścić się dużo ludzi i stanąć wiele drewnianych budynków. I dziś jeszcze okoliczne pola lud nazywa „Podgrodziem“, a

pobliskie prastare osady Piekary, Skotniki, Łagiewniki, Woźniki, Strzelce, Korabniki i Kuchary dowodzą, że musiała tu kiedyś w mroku dziejów istnieć organizacja rycerska, zaś mieszkańcy tych osad obowiązyani byli do wszelakich świadczeń na rzecz panów grodowych.

Z owym przeto grodziskiem tyńceckim związana została już w średniowieczu ciekawa i bogata w treść legenda o Walgierzu Udałym (czyli Dorodnym), potężnym panu na Tyńcu, spopularyzowana w nowszych czasach przez piękną opowieść Żeromskiego. Po raz pierwszy podanie to zostało zapisane już w 13 w., w Kronice Wielkopolskiej. Brzmi ono w skrócie jak następuje. W czasach pogańskich był panem na Tyńcu możny Walgierz (inaczej Walcer lub Walter), przodek rodu Starzów czyli Toporczyków. On to pojmął i w Tyńcu uwięził księcia na Wiślicy, Wisława, z rodu Popielowego. Walgierz ów miał żonę, piękną Heligundę, córkę króla Franków. Poznał ją na dworze jej ojca, śpiewem podbił jej serce i nakłonił do ucieczki do Polski. Przebyli wpraw Ren, lecz za rzeką dogonił ich królówicze niemiecki, rywal Walgierza. Po pomyślnym dla Walgierza boju, w którym legł jego współzawodnik, zakochana para przybyła do Tyńca. Wnet potem Walgierz wyjechał i nie było go dwa lata. Heligunda tymczasem zwołała z kaźni Wisława i uciekla z nim do Wiślicy. Po powrocie do domu Walgierz zapłonął straszny gniewem, ruszył na Wiślicę, lecz przez zdradę żony został pojmany przez Wisława. W okrutnej bezsile, przykuty łańcuchami, musiał patrzeć na pożywie zdradzieckiej pary. Straż nad Walgierzem zlecił Wisław swej siostrze, starej i szpetnej. Ta pokochała więźnia i wzamian za przyrzeczenie ślubu przecięła kajdany i przyniosła jego miecz. Wówczas Walgierz wyzwolony przebił mieczem Wisława i wiarołomną Heligundę, a sam z wielkimi skarbami powrócił do Tyńca.

Historycy, którzy badali tę ciekawą legendę, dowiedli, iż jest ona złożona ze strzępów prastarych podań o Walterze z Akwitani z cyklu Nibelungów. Lecz wiązanie jej z Tyńcem i Wiślicą już w w. 13-ym dowodzi, iż żyć jeszcze musiała wówczas tradycja o jakichś książętach tych miejsc, o ich rywalizacjach, zdradach, krwawych napadach

i bojach. Na zrębie tej tradycji, sięgającej jeszcze w przedpiastową epokę, połączono okrucieństwa poematów zachodnich i spojono je w poetyczną całość.

Z biegiem czasów z starożytnego grodziska przeniósł się punkt ciężkości na stromą nadwiślańską skałę, gdzie już w 11 stuleciu osadzony został zakon Benedyktynów. Rok założenia klasztoru otoczony jest jednak mgłą niepewności. Historycy naogół zgodnie uważają za fundatora Kazimierza Odnowiciela, zwanego Mnichem i podają, idąc za Długoszem, jako datę powstania klasztoru rok 1044. Rola Benedyktynów w owej epoce była niezwykle doniosła. Spełniali doniosłą rolę w nawracaniu pogan, utrwaleniu wiary, wydawali z swego łona licznych biskupów misyjnych, kształcili kler, stanowili obsadę kapituł katedralnych, m. in. również i w Krakowie. Oni jedni posiadali w ówczesnym społeczeństwie rozległą naukę, oni znali sztukę murowania budowli z kamienia. Rychło pomnożyły się ich klasztory w Polsce, Tyńca wszelako uposażony olbrzymimi włościami, zajmował wśród nich miejsce naczelne. Opat jego zwano ongiś „abbas centum villarum“, opatem stu wsi i panem pięciu miast ponadto.

Bogactwa wszelako nie zapewniły Tyńcowi ciszy i spokoju. Dzieje jego były burzliwe i zmienne. Kościół i opactwo wielokrotnie były niszczone przez najeźdźców, Tatarów, Szwedów, Moskali. Pożary obracały gmachy w perzynę, a na ruinach powstawały wciąż nowe, okazalsze budowle. Wśród zamieszek wojennych w 2 poł. 18 w. mnisi się rozprzeczili, a po powrocie zastali budowle obrabowane i zniszczone. Po tym rozbirozie Austria zagarnęła dla rządu dobra opackie, a tworząc w r. 1786 nową diecezję tarnowską, mianowała biskupem opata Janowskiego. Wówczas też reszta niezmiernie ongiś bogatego skarbcza przewieziono do katedry tarnowskiej, gdzie dotąd stanowią ozdobę świątyni. Cenniejszym może jeszcze od skarbcza było tyńceckie archiwum i biblioteka, obfitująca w mnóstwo niezmiernie ważnych dla dziejów naszych w średniowieczu dokumentów, kronik i ksiąg. Te przewiózł rząd austriacki do Biblioteki Uniwersyteckiej we Lwowie, gdzie ku ogromnej szkodzi dla nauki zgorzały w czasie bombardowania miasta przez wojska austriackie w r. 1848.

Podjęte w pocz. 19 w. próby osadzenia tu Benedyktynów niemieckich nie powiodły się. Kościół i klasztor podlegały coraz to bardziej opuszczeniu i ruinie. Budynek klasztoru ugodzony został w r. 1831 piorunem, od którego zgorzał, kościół przytem znacznie ucierpiał. Wówczas to wieże straciły wyniosłe barokowe hełmy i już nigdy ich nie odzyskały.

Dziś w skromnym wnętrzu kościoła, za załamami walących się ruin klasztoru, w starych warownych ongiś bramach i resztkach fortyfikacji — wszędzie czatująca melancholia wita smutno przybysza, pouczając wymownie o niewszczęj wszystko potęgę czasu. I tylko nieodmieniona przez wieki przyroda uśmiecha się radośnie, oczarowuje wędrowca uroczymi widokami falującej w słońcu okolicy, leśnistych wzgórz i rozścielonych niby barwne kobierce pól i łąk, nad którymi rozlega się beztrudny śpiew ptaszków, nucących tę samą pieśń odwieczną, którą kiedyś śpiewały w czasach mocarnego Walgierza. I tak samo, jak za jego dni, przecina uroczy krajobraz kręta wstęga Wisły, szemrzącej odwieczny epos o wiekach, które minęły, tak jak mijają jej wody w otchłannym nurcie Bałtyku.



WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER” S. A.  
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ

KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO,  
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIEŁOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66  
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2



CENA NUMERU GROSZY 40

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENA W CZECHOSŁOWACJI Kc. 250

CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 36

Niedziela, 4 września 1938

Rok IV

## ASY NUMERU 36-GO:

### „WODNE PANNY”.

O wyprawie morskiej sześciu odważnych Lwowianek, które jako załoga jachtu „Krzysztof Arceiszewski” odbyły daleki rejs po Bałtyku. Str. 4—5—6.

### WOJSKO STAN. AUGUSTA.

Album Raspe'go z r. 1781 zapoznaje nas z wzorami barwnych mundurów żołnierzy króla Stanisława Augusta, które swym wyglądem przypominały uniformy wojskowe innych ówczesnych europejskich państw. Str. 8—9.

### W MIEŚCIE KRZYWEJ WIEŻY.

Przez życie mieszkańców słynnej Pizy przewija się jak barwna wstęga szereg uroczystości, związanych z tradycjami miasta. Str. 10—11.

### „CZARNA WDOWA”.

Do najejebniejszych, a zarazem najniebezpieczniejszych pajaków należy „czarna wdowa”, która ostatnio przywieziona do Londynu stała się powodem interpelacji w parlamencie angielskim. Str. 15.

### Jak mieszkają gwiazdy filmowe:

#### HOME ANITY LOUISE.

Wnętrza rezydencji słynnej artystki amerykańskiej w Beverly Hills stanowią zaprzeczenie dobrego smaku i znawstwa stylów. Str. 16—17.

### „TOWARZYSTWO „SZUBRAWCÓW”.

Ostatni zjazd chemików w Wilnie przypominał działalność słynnego ongiś związku, na którego czele stał Jędrzej Śniadecki. Str. 18.

### Przebieg muzyczny „Asa”:

#### WE DWOJE.

Wale angielski. Muzyka Eugen. T. Mflera. — Słowa R. Hajduka. Str. 22.

### OBYCZAJE BRE TANJI ZAKŁĘTE W PORCELANIE.

Porcelanowe figurynki zakładów w Quimper opowiadają o życiu zakątka Francji, który folklorystycznie przypomina Polskę. Str. 25.

Nowele. — Konkurs wakacyjny. — Łamigłówki mody męskiej. — Higiena. — Kosmetyka. — Moda kobieca. — Dział gospodarstwa domowego. — Humor i rozrywki umysłowe. — Nowe książki. — Na scenie. — Program radiowy.



Fot. Feliks Nowicki — Kraków

Są momenty, gdy ruch uliczny w starych miastach słabnie, a nawet zamiera podczas dnia i wówczas zdumiewa przechodnia obraz jakby wyczarowany z przed 50 lat, kiedy nie znano jeszcze samochodów i tramwajów, nieodłącznych współczynnika życia dzisiejszej ulicy. — Na zdjęciu: Widok na Mały Rynek z ulicy Mikołajskiej w Krakowie.



# „Wodne panny”

Na prawo: Dziewczeta z zapalem wzięły się do ciężkich lin...

Zawieramy coraz ściślejsze przymierze z morzem. Nietylko „cała Polska” spotyka się latem na naszym wybrzeżu, rozkoszuje się pięknem morza i darami wody i słońca — lecz także coraz częściej i coraz liczniej wyruszamy na pełne morze po nowe i niezwykle dla „szczerów lądowych” wrażenia.

Kto pragnie podróżować z komfortem, lub komu wiek, czy skąpe siły nie pozwalają na odegranie roli autentycznego wilka morskiego — bierze udział w zbiorowej wycieczce morskiej, w czasie której za paręset złotych otoczą go wszelkim komfortem, zapewnią sto procent bezpieczeństwa, a morze wyda mu się nie groźnym i zawsze nie obliczalnym żywiołem, lecz poprostu wygodną autostradą, po której statek-miasto spokojnie dotrze do obcego portu.

Ale młodzi pragną innych wrażeń!

Inaczej smakuje podróż „Darem Pomorza”, a inaczej wielkim transatlantykiem.

Jeszcze inny smak posiada podróż jachtem, małą lupiną, na której kilku zaledwie ludzi mierzy niemal bezpośrednio swe siły z tajemniczą potęgą morza...



Na lewo: Zanim wyruszy się na dalekie morze, trzeba się wielu rzeczy na brzegu nauczyć...



Wyprawa z rybakami na połów, na pełne morze, ma swój czar, ma swoją poezję, pisaną przez uoc, morze, gwiazdne niebo i podnieconą tą niezwykłą sceną wyobraźnię.

Ale to są wycieczki krótkie, w czasie których jest się właściwie „kibicem”.

gdyż rybacy nie pozwolą „panu z miasta” wtrącać się do wielkiego misterjum, jakim jest ich praca.

Dopiero ci „cywile”, którzy mogli odbyć choćby jeden rejs na jachcie, którzy rozkosz podróży okupili ciężką pracą, czujnością i baczным obserwowaniem oblicza morza — mają prawo nazwać się „wilkami morskimi” i ludźmi, którzy prawdziwie z morzem zawarli przymierze!

Od dość dawna Akademicki Związek Morski szkolił kadry mężczyzn-żeglarzy, którzy na jachtach dalekie odbywali podróże, poznając obce kraje, hartując siły fizyczne i wolę w walce ze „sztormami”, rozmiło-

wując się w morzu i głosząc o jego pięknie tym, którzy jeszcze naszego morza nie o d k r y l i.

Ale dopiero od lat sześciu pożyteczny ten Związek uznał, że i kobiety mają równe prawa z mężczyznami do poznawania i — ukochania morza.

W odpowiedniej porze roku co kilka tygodni wyruszały dzielne żeglarki małymi grupkami na wyprawę do dalekich ładów.

Z początku powątpiewano, czy rzekomo słabe i do większych trudów nienawykłe kobiety dadzą sobie radę.

Bo to trzeba nocą czujnie wartować przy sterze, borykać się z żaglami i ciężką kotwicą — i nie można liczyć na niczyją pomoc, nikt ze skwapliwą uprzejmością nie zastąpi „słabej” kobiety, aby nie popsuła sobie pięknych rączek...

Ciąg dalszy na str. 6-tej.

**PO REGATACH**

Fot. Mgr Leszek Wieleżyński — Lwów.







Ciąg dalszy ze str. 4-tej.

„Panny wodne” są pasażerkami i marynarzami zarazem.

1200 mil morskich jachtem — to nie fraszka. Nawet dla krzepkich ramion męskich niekiedy jest to zadanie nad siły.

Ale dzielne dziewczęta dowiodły, że potrafią dorównać mężczyznom na każdym polu!

W dalekich portach z podziwem oglądano młode „wilczyce morskie”, chociaż nie tylko w Ameryce, ale i we Francji, Anglii, Niemczech, a zwłaszcza w krajach skandynawskich kobiety znacznie dawniej, niż Polki, wyruszały na morze. Nasze żeglarki budziły jednak podziw postawą, energią i doskonałym humorem, mimo przebranych trudów.

— Nie znać na nich ani śladu zmęczenia — mówili z uznaniem i nie bez zdziwienia prawdziwi „ludzie morza”.

Kobiet, uprawiających „królewski sport” żeglarski, jest coraz więcej. Powiększa się również ilość jachtów. „Grażyna”, jacht harcerek morskich, znany jest dobrze w licznych portach skandynawskich, dokąd w ciągu czterech lat włóczęgi zawijał.

Przed kilku dniami powrócił do Gdyni po przeszło dwutygodniowej podróży do Szwecji i Finlandji jacht „Krzysztof Arciszewski” — ten sam, który zbyt pochopna plotka prasowa „utopiła” w roku zeszłym...

Załogę „Krzysztofa Arciszewskiego” stanowiło 7 studentek wyższych uczelni lwowskich, — członkiń Akad. Zw. Morskiego.

Jacht odwiedził porty w Visby, Marienhamm na wyspach Aalandzkich, Sundshamn, Kalosvik, Sztokholm i Nynäshamn.

Trasa rzeczywiście wspaniała, widoki, jak z baśni! Sztokholm, „Wenecja Północy”, „Królowa Melaru” — jak go nazywają doprawdy bez zbytecznej przesady — naprawdę dał „pannom wodnym” wrażenia, których nigdy nie zapomną.

Podróż bowiem lekkim, niezbyt szybko sunącym po falach jachtem, wzdłuż tysięcy „szkerów” — uroczych skalistych, a tonących w gorącej zieleni wysepek, jest zdarzeniem, którego się nie zapomina.

Dowódcą „Krzysztofa Arciszewskiego” był w tej podróży p. Andrzej Majewski.



Przygotowania do stawiania żagli.

Wszystkie zdjęcia: Mgr Leszek Wieleżyński, Lwów.

„Panny wodne” opowiadają o swojej podróży z entuzjazmem.

Chwałą przystojniową gościnność Skandynawów i radują się, że przeżyły — prawdziwy sztorm!

W ostatnich dniach panowały bowiem na Bałtyku silne sztormy, które nawet zmusiły dzielne żeglarki do zrezygnowania z wizyty w Bornholmie i zatrzymania się

Poniżej: „Krzysztof Arciszewski” na wodach Norwegii.

w porcie Nynäshamn, skąd jacht przybył bezpośrednio do Polski.

„Panny wodne” czeka zasłużony odpoczynek — ale jacht, na którym odbyły swoją cudowną podróż, nie zasnę jeszcze odpoczynku.

Po przyjęciu nowej załogi, wyrusza w nowy, kilkutygodniowy rejs po Bałtyku, pod komendą kpt. Mięśowicza.

Ale ten rejs będzie już ostatnią w tym roku podróżą „Krzysztofa Arciszewskiego” do obcych portów.

I znów w roku przyszłym, gdy tylko nadarzy się sposobna pora do włóczęg morskich, wyruszą znów lekkie, smukłe jachty, na których nie brodaci, klnący co drugie słowo i ginący krzepiący siły wilcy morscy, lecz zgrabne, młode, opalone i wesole, wykwinętą porozumiewające się mową i stroniące od kieliszka — popłyną „wodne panny”.

Znów otoczy je bezmiar wód morskich, otoczą odmęty, kryjące groźne i wielkiej czujności oraz sił męskich wymagające niespodzianki...

Znów zasypiać będą pod szafirowym, utkany gwiazdami namiotem nieba. I tylko te, którym przypadnie w udziale czuwanie przy sterze — pełne wrażeń i tajemniczego sam-na-sam z morzem, będą słuchać zagadkowych opowieści, które nocą szemrze morze osamotnionym podróżnikom...

Dzielne są „panny wodne”, które gorącym sercem pokochały morze. Ich przykład zachęci nape-

wno nie tylko rówieśniczki odważnych żeglarzy, lecz także zawstydzi niemrawych „panów stworzenia”, którzy w obcisłych marynareczkach zajęte kryją serca i wolą patrzeć na morze z mocnego, solidnie zbudowanego mola, niż narażać życie „w walce z żywiołem”...

Takich ogarnia nawet lęk, gdy wsiadają na pocziwy, ciągnący smugi czarnego dymu statek, aby odbyć „podróż” z Gdyni do Jastarni...

Gdy jednak ujrzą siedem szczęśliwych, opalonych, roześmianych, uzdrowionych ze wszystkich smutków „panien morskich”

Dokończenie na str. 7-mej.





# CAŁE ŻYCIE JESTEM UWIELBIANA DZIĘKI OLEJKOWI OLIVKOWEMU!



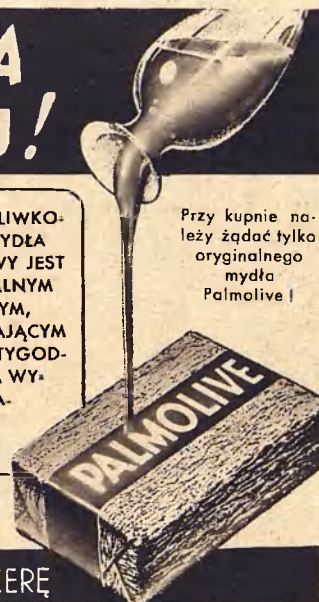
PO 15 LATACH PO-  
ŻYCIA MAŁŻEŃ-  
SKIEGO PAWEŁ  
PRZYNOSI MI NA  
DAL KWIATY!



MOJA MŁODOŚĆ  
I PIĘKNA CERA  
CIĄGLE MU SIĘ  
PODOBAJĄ.



MOJA TAJEMNICA? OLEJEK OLIVKO-  
WY! UŻYWAM WYŁĄCZNIE MYDŁA  
PALMOLIVE, A OLEJEK OLIVKOWY JEST  
NAJSKUTECZNIEJSZYM NATURALNYM  
ŚRODKIEM UDELIKATNIAJĄCYM,  
WZMACNIAJĄCYM I UPIĘKSZAJĄCYM  
SKÓRĘ. SPRÓBUJ! JUŻ PO 2 TYGOD-  
NIACH BĘDZIESZ OCZAROWANA WY-  
NIKAMI... A POTEM BĘDZIESZ STA-  
LE UŻYWAŁA TEGO NIEZWYK-  
ŁEGO MYDŁA !!



Przy kupnie na-  
leży żądać tylko  
oryginalnego  
mydła  
Palmolive!

SHAMPOO PALMOLIVE PIELĘGNUJE WŁOSY JAK MYDŁO PALMOLIVE CERĘ



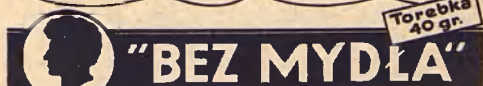
## Precz z przykrym łupieżem!

Łupież oraz kruchy i łamliwy włos — oto rezultat zbytłego odłuszczenia skóry głowy i włosów przez używanie niewłaściwych, silnie alkalicznych środków, jakie nadają się przeważnie do czyszczenia martwych tylko przedmiotów.

Regularne mycie nowym **nie-alkalicznym** szamponem "Bez Mydła" Czarna główka, powoli przywraca włosom ich naturalną moc i elastyczność, a kiedy skóra głowy odpocznie po szkodliwym ługowaniu — w krótkim czasie zniknie również i łupież.

"Bez Mydła" bywa w 2 odmianach: dla jasnych i ciemnych włosów.

Jeżeli zależy Pani na czasie, można uzyskać piękne włosy w ciągu 3-ch minut, myjąc je "Suchym szamponem" Czarna główka.



**Szampon Czarna główka**

**Nowość!** "Bez Mydła" w płynie do jasnych i ciemnych włosów!

Dokończenie ze str. 6-tej.

wracających „do domu” — napewno zawstydzą się bardzo i obiecują sami sobie solenną poprawę.

„Pany morskie” dobrze się więc zastużyły w dziele doprowadzenia do trwałego

przymierza — między nami i morzem.

Coraz bardziej osuwamy się z wodą, jako środkiem lokomocji. Zanim zdobyliśmy się na odwagę i wyruszyliśmy na morze, najpierw poprobowaliśmy swych sił na wodach rzek i jezior.

Od wątlých, zwinných kajaków, do żaglówek i wreszcie do „wielkich” jachtów — droga niedaleka.

Kto nie ma odwagi, aby zmierzyć swe siły z bezkresnem, pełnem niebezpieczeństw morzem, uwija się w małym kajaku po

Popradzie lub Dunajcu, albo wyrusza na spokojniejsze wody naszych północnych jezior.

Kto wie jednak, czy takie podróże nie są niekiedy nawet niebezpieczniejsze, niż pełna emocji podróż jachtem?

Na morzu jest dość miejsca dla wszystkich, a podróż jachtem ma tyle więcej czaru i poezji! Tak przynajmniej twierdzą nasi młodzi żeglarze, a zwłaszcza — subtelniejsze i bardziej skłonne do zachwytów „panny wodne”...  
B.

## SHAMPON ROŚLINNY

FARBUJE WŁOSY  
SZYBKO i TRWAŁO

w 11  
odcieniach      łorebka  
zł 1.50

# HENNA

J.I.S.STEMPNIEWICZ-POZNAŃ



## Naukę PIĘKNOŚCI

rozpocząć należy od elementarnej zasady wszelkich zabiegów kosmetycznych: zmyć starannie twarz wodą do twarzy Scherk! Następnie zapoznać się z treścią książeczki, załączonej do flakonów wody do twarzy Scherk: tylko skóra o najgruntowniej oczyszczonych porach może skutecznie reagować i stać się piękną! Przez pielęgnowanie urody wodą do twarzy Scherk!

Ceny flakonów: zł. 2, 3, 50, 6 i 12.

SCHERK



# WOJSKO

## STANISŁAWA AUGUSTA



Od lewej: Szeregowiec pułku piechoty Czapskiego, — General-major wojsk Stanisława Augusta.

Na lewo: Żołnierz Korpusu Janczarów.

**L**eży przedemną mały tomik, oprawny w pergamin, z czerwono barwionymi brzegami i prostym grzbietem — tomik o typowym wyglądzie książki z XVIII-go wieku. Jeden z tych, które widziałem w Paryżu, preparowane przez fabrykantów fałszywych bibliotek, którzy obcinając grzbiety, naklejali je na drzwi szaf, stawianych później w mieszkaniach nuworiszów.

Na tytułowej stronie, na tak miłym, miękkim papierze starej książki czytałem słowa, wytłoczone szlachetną czcionką, zbrązowiałą ze starości: *Rأسpe. Etat Actuel de l'Armée de Sa Majeste le Roy de Pologne, Nürnberg 1781*. To miniaturowy wspaniały album Wojska Polskiego z czasu króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Broń, barwa, mundur, sztandary — to świetne atrybuty żołnierza, które zawsze będą pociągać oczy ludzkie i będą znajdować entuzjastów, poświęcających się skomplikowanej sztuce mundurologii niezależnie czy chodzi o poważnego historyka, czy tylko manjaka, zbierającego guziki rozmaitych armij. W zachodnich krajach są ludzie, kompletujący całe wojska ołowianych żołnierzy, znawcy wszystkich niuansów kraju, munduru, kształtu czapki, obyczajów wojskowych. Istnieją olbrzymie wydawnictwa niemieckie, traktujące z drobiazgowością te sprawy. We Francji mamy czasopismo „Sabretage” o ekskluzywnej ilości prenumeratorów, pismo poświęcone mundurów i innym rekwizytom stroju wojskowego. Wszystkie kraje pilnie respektują swe narodowe uniformy. U nas wzruszamy się na widok gwardyjskich kit na czakach Podchorążych,



zmieniających wartość każdego 29-go Listopada. Niemcy entuzjastycznie się na widok kołpaka „Huzarów Śmierci“, ozdobionego trzypięciową czaszką generała Mackensena, — Francuzi na widok barwnych Spahisów Marokka, — ba! nawet Amerykanie mają Kadełtów z West Point, — nawet Rosja sowiecka przywróciła Kozakom ich czekany i patrony.

Geneza munduru wojskowego jest bardzo skomplikowana. Często jego historia posiada momenty makabryczne, jak to na przykład ma miejsce z pięknym kornierzem marynarza. W XVIII wieku, kiedy służyła w marynarce zaliczona była do bardzo ciężkich zajęć żołnierskich, kiedy dla skompletowania załóg uciekano się nawet do porywania ludzi, pewnego kontyngentu dostarczyły flocie angielskiej właściwie place kaźni. Skazani na śmierć, na placu, dokąd przyprowadzano go w płóciennym kapturze skazaniec na głowie, wysłuchiwał wyroku, poczem zamieniano mu go na służbę w marynarce i rozcinano ów wór, a odrzucony w tył kaptur pozostał częścią stroju marynarza.

Również ponury jest początek świetnej ozdoby, jaką są sznury adjułanek. Ołóż datują się one z czasów wypraw księcia Alby w Niderlandy, kiedy to tamtejsi powstańcy na znak pogardy śmierci nosili na szyjach gotowe stryczki.

Dzielną pułk szwoleżerów gwardji Krasieńskiego, w odróżnieniu od 2-go pułku szwoleżerów gwardji, złożonego z Holendrów (nosili oni w przeciwieństwie od Polaków, czerwone mundury i granatowe rabaty) początkowo uzbrojony był tylko w szablę i karabinki. W bitwie pod Wagram Polacy powyrwali ulanom Schwarzenberga lance i przez jakiś czas nawet jeździli z proporczykami żółto-czarnymi. Tutaj przekonujemy się, że strój wojskowy może być nawet w sposób chwalebny wzięty od wroga. Formacje ulanów, huzarów są poprostu umiędzynarodowione. Tennyson w swym pięknym poemacie o „Szarży lekkiej brygady pod Bałakławą“ będzie opiewał ich wszystkich.

Armja Stanisława Augusta w relacji Raspego jest w swoim zewnętrzzym wyglądzie podobna do armji innych państw Europy. Gwardziści nosili wysokie kołpaki, dragoni trójgraniaste kapelusze i oberwesty tak, jak generałowie byli posłuszni klasycznemu zasadom prowadzenia wojen. Wojny XVIII-go wieku przypominają grę w szachy. „Dobrze wychowany“ partner zaszachowany wojskami przeciwnika, dostawał według klasycznych reguł matę bez zbyt-nych protestów i dopiero Napoleon swemi urągającami tym ustalonym zasadom pociągnięciami wprowadził nowe czynniki strategiczne. Z kolei on sam będzie zaskoczony nieprzewidzianą taktyką Eurazjatów: Suworowa i Kutuzowa.

Raspe w swej książce, opisującej wojsko Stanisława Augusta, posługuje się tekstem niemieckim i francuskim. Mamy tu także wiele określeń w zniekształconej jednak polszczyźnie, kiedy usiłuje podać nazwy szeregowca lub towarzysza. Tekst Raspego jest właściwie objaśnieniem do albumu rytowanych postaci wojskowych. Sztuchy posiadają charakter współczesnej mu sztuki ilustratorskiej i są ręcznie kolorowane i złoczone. Przeglądając kartkę za kartką i przesuwając się przed nami rewja armji przed utratą niepodległości. Pułki gwardji, piechoty, artylerji, kawalerji narodowej, korpus Janczarów, Węgrów, towarzysze, pocztowi, generałowie, adjułanci królewscy, szeregowi.

Raspe jest w swych informacjach bardzo skrupulatny. Podaje pełne nazwy formacji, miejsce ich stacjonowania, skład korpusu oficerskiego, podaje, ilu pułk miał majorów, poruczników, lekarzy, chirurgów. Nie zapomni nawet o nieodzownym profosie i egzekutorze. Tomik, który został mi uprzejmie udzielony przez kustosa Muzeum Sobieskiego p. Andrzeja Bruchnalskiego, ma ciekawe notatki, poczynione atramentem na marginesie, notatki współczesnego znawcy wojska polskiego, czyniące z tej książki rzadki okaz, poprostu unikat. Starem, pięknem pismem wypisane są uwagi, czyjego szefostwa był dany pułk, nazwiska oficerów i dowódców. Dowiadujemy się z tego, że korpusy oficerów pułków piechoty składały się w zasadzie z obcokrajowców, przeważnie Niemców.

Trzeba przyznać, iż armja polska prezentowała się wówczas świetnie, nie nie ustępując wyglądem wojskom państw zachodnich. Coprawda pułki artylerji nie wszystkie miały działa, ale piechota uzbrojona była w „gwery“ polskiego wyrobu, fabryki w Bielsku. O ambicjach Stanisława Augusta postawienia na pewnym poziomie swego wojska, świadczy fakt założenia przez niego słynnej Szkoły Rycerskiej, której wychowankiem był choćby Kościuszko.

A armja? Służyła do parad, wart, manewrów, jak te, które znamy z obrazu w Muzeum Wojska w Warszawie, manewrów pod Królikarnią, z karuzeli i zabaw słabego króla. O nim to dowcipniś z ludu ułożył piosenkę, kiedy urządzano uroczystości ku czci Jana III-go:

*Dwa tysiące karuzel, jabym dwakroć zożył*

*By Stanisław był w grobie, a Jan III-ci ożył...*

Kulturalny król sam śmiał się z tego dowcipu, kiedy usłużyli dworacy o nim mu donieśli, ale doznał zapewne goryczy.

Armja królewska miała wyjść w pole pod Połonne i Dubienkę — miała przygotować ludzi do pożogi powstań o Niepodległość — ale nie było jej danem ratować honoru cyfry królewskiej Stanisława Augusta.

**Zygmunt Haupt.**

## Wielki Konkurs & nagrodami

# KONIAKU STOCK



**Przedmiot konkursu:** Do jakiego celu służy i kiedy używa się Stock Koniak Medical? Na przyjęciu gości, w restauracji, w weselnym towarzystwie, do sporządzenia znakomych cocktailów; w sporcie, na polowaniu, na wycieczkach, w górach, w podróży, na letnisku; również podczas choroby i przy rekonwalescencji. Stock Koniak Medical jest także znakomitym przedmiotem dla podarunków. Używa się go także w kuchni do sporządzenia pierwszorzędnych legumin, pije się go z mlekiem lub herbatą i t. d. Przy tym konkursie wymaga się zdjęcia fotograficznego, które przedstawia obrazowa w zwyczajnej i odpowiedzącej celowi formie jedną z wyżej naprowadzonych możliwości użytkowania Stock Koniak Medical. Pożądane są tylko amatorskie zdjęcia fotograficzne, o ile możliwości nie reżysowane.

Fotografie artystyczne i fotomontaże nie będą dopuszczane do konkursu, natomiast przyjmuje się zamiast zdjęć fotograficznych również rysunki odręczne.

**Czas trwania konkursu:** W czasie od dnia 16 maja do 15 września 1938 r. zaopatrzone będą wszelkie butelki (a więc i najmniejszej pojemności) znanych artykułów „Stock Koniak Medical“ i „Stock Koniak Extra“ w prospekt i kupon, który upoważnia do uczestnictwa w konkursie i zawierał będzie wszelkie wyjaśnienia. Zdjęcia fotograficzne, jakoteż rysunki wpłynąć muszą najpóźniej do dnia 15 września 1938 roku.

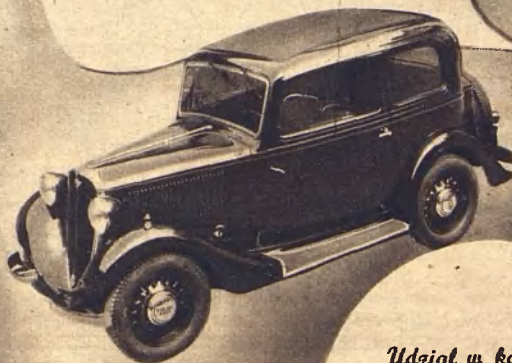
**1 Samochód-kareta POLSKI FIAT, typ 508**

**2 Maszyna do pisania „EFKA“**

**3 Aparat fotograficzny „Rolliflex-Automat“**

**4 Radioodbiornik „ECHO“**

50 nagród pocieszenia  
po 1 oryginalnej butelce Stock Koniak Medical  
i po 1 litr butelce likieru Stock Bonifacius.

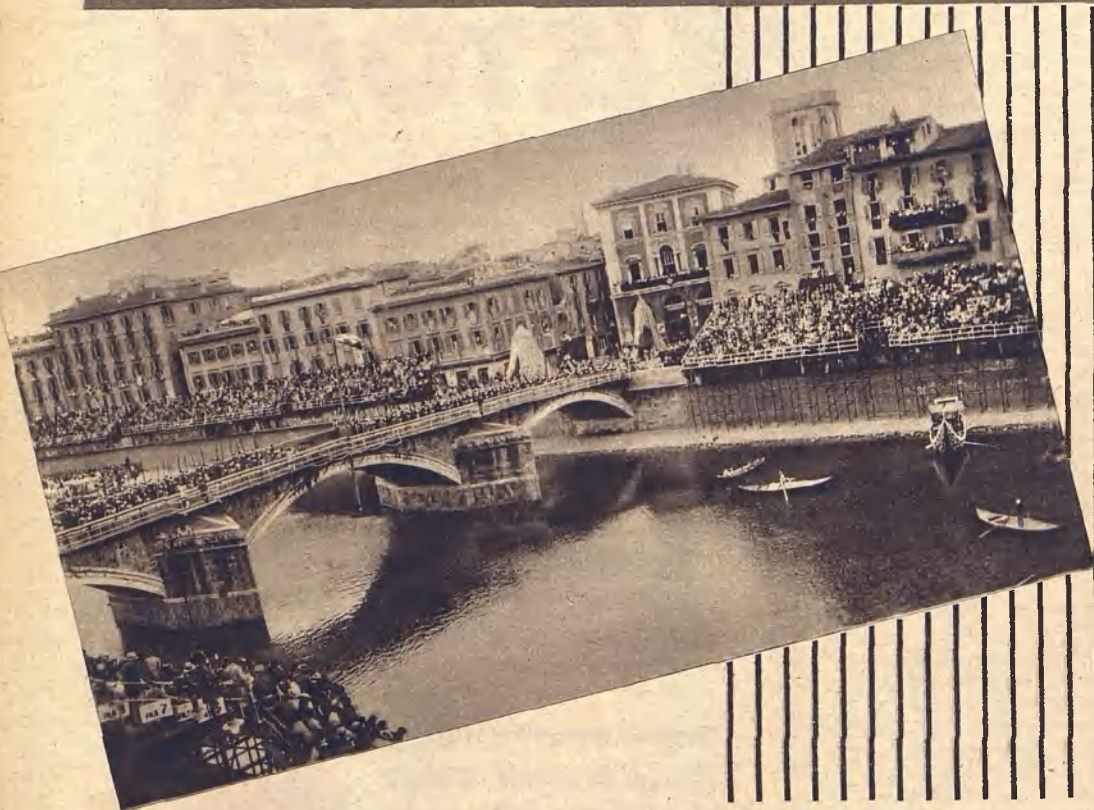


### Udział w konkursie:

Blizsze szczegóły podane są w prospektach przyczepionych wraz z kuponami do każdej butelki Stock Koniak Medical i Stock Koniak Extra podczas całego trwania konkursu.



# „IL GIUOCO DEL PONTE“ W MIEŚCIE KRZYWEJ WIEŻY



„Il giuoco del ponte“, igrzyska na Ponte Vecchio w Pizie, w rocznicę walk dwóch dzielnic tego miasta.

Ranek w ciasnej uliczce pizańskiej wpa-  
da przenikliwe wołanie przekupników,  
turkot wózków ciągniętych przez mu-  
ły lub małe osiołki, potem trzaskają zielone  
wachlarze okienne i z za nich wychylają się  
głowy jeszcze zaspanych gospodyń.

Przekupie zachwalają towar, spiętrzony  
na wózkach — głównie „frutta di mare“:  
ostrygi, żaby, niezwykła mnogość i różno-  
rodność galaretowatych „calamai“, kołcza-  
stych „riccio di mare“, drobnutkich, jak  
pestki dyni, muszelek — przyczem sprze-  
daż odbywa się sposobem nader uproszczo-  
nym i wygodnym: z okien sfruwają ku  
wózkom małe koszyki, „cestini“, wypeł-  
niane w „miejscu przeznaczenia“ żądanym  
towarem. Wówczas wzlatają ku górze jak  
pękate ptaki, przemysłnie wymijając po  
drodze zapory z wydejętą w wietrze bieli-  
zyny, rozpiętej we wszystkich kierunkach:  
wzdłuż i w poprzek ulic — białe, falujące  
„mosty westchnień“.

Wrzawa targów przelewa się po zauł-  
kach, koszyki uwijają się gorączkowo — aż  
w miarę, jak słońce „winduje“ się na nie-  
skazitelnie błękitną kopułę nieba, spiętrzo-  
na fala zgietku opada.

Latem nurt dnia we wszystkich miastach  
włoskich płynie jednak: rankiem rażny,  
wartki, — w południe zamiera zupełnie.  
Wówczas cień ciasno przywiera do ścian ka-  
mienic, a odsłonięta, zdana na pastwę żaru  
ulica ciężko dyszy. Tylko gdzieniegdzie ka-  
wiarniane markizy, jak barwne motyle, roz-  
pinają oazę cienia. Wówczas zielone wa-  
chlarze okienne opadają jak zmęczone po-  
wieki, zamykając słońcu drogę do mieszk-  
kań, w których zmożeni upałem ludzie  
snem odgradzają się od świata.

Ku wieczorowi żar słabnie — na ulice wy-  
lega gęsta fala ludzka, obsiada parki, skwe-  
ry, do późnej nocy plawiąc się w rozkoszy  
chłodu.

Każdy z Czytelników wie, że w Pizie  
znajduje się słynna Krzywa Wieża, budzą-  
ca zrozumiałą podziw swem położeniem,  
które zdaje się wróżyć jej rychły koniec.  
Nie wszystkim jednak znane są bliższe  
szczegóły, związane z początkami tego za-  
hytku, oraz historia „kalestwa“, które sta-  
ło się przyczyną rozgłosu.

Ostatnimi czasy coraz częściej na szarej  
powierzchni wieży ukazują się długie rany  
pęknięć, a drobiazgowo pomiary mówią, że  
kąt nachylenia „torre pendente“ staje się  
coraz mniejszy. Z gorączkowym pośpiechem  
wzmacnia się fundamenty, zabliznia pęk-  
nięcia — trzeba bowiem wiedzieć, że co-  
najmniej czwarta część mieszkańców stra-  
ciłaby możliwość egzystencji z chwilą kata-  
strofy.

A początek krzywej wieży...? — dawne  
to czasy, czasy największego rozkwitu, zło-  
ty wiek dumnej republiki pizańskiej.

Był okres, gdy Piza, bogata w okręty wo-  
jenne, kwitnąca handlem, rozpostarła swe  
władztwo na lądach dalekich i morzach. Do  
portu pizańskiego, największego wówczas  
w Etrurji, zawijały okręty ze wszystkich  
stron świata, — stąd też wyruszały galery  
potężnej republiki, by znak orla, godło na-  
rodu, zatknąć na ziemiach ujarzmionych.  
Flota pizańska podbiła Tunis, krnąbrną  
Utykę, Neapol, Brindisi, Sycylię, skąd  
pierzchnąć musiały saraceńskie zastępy,  
Kartaginę, na której tron wprowadziła po-  
tem króla chrześcijańskiego. Galery „pro-  
tektorki królów“ i „wiernej obrończyni pa-  
piestwa“, — jak nazywa Pizę św. Bernar-  
d, — zapuszczały się na wyspy Dode-  
kanazu, do Hiszpanji, Afryki, gdzie zdoby-  
ły bogate kolonie i do hołdu zmusiły py-  
sznych książąt i królów. Pod panowanie re-  
publiki dostały się wyspy na morzu Tyr-  
reńskim, do niej należała znaczna część  
Sycylii, Baleary, jej konsulowie zasiadali

w Wenecji i we wszystkich portach Adrja-  
tyku, w Hiszpanji i na Cyprze.

Wtedy prawdopodobnie miasto, rozciąga-  
jące się obecnie po dwóch stronach Arna,  
zajmowało prawy jego brzeg. Z wszelką na-  
tomiaś pewnością stwierdzić można, że Pi-  
za starożytna wznosiła się jedynie na pra-  
wym brzegu rzeki. Wiadomo bowiem, że  
Duomo (katedra) wyrasta na miejscu da-  
wnego pałacu Hadrijana, kościół świętego  
Mikołaja na ruinach świątyni Cerery, koś-  
ciół św. Michała był za czasów rzymskich  
świątynią Marsa, w pobliżu zaś bramy mia-  
sta na drodze prowadzącej do Lukki do  
dnia dzisiejszego podziwiać można wspa-  
niałe termy starożytne, znane ogólnie pod  
nazwą „łaźni Nerona“.

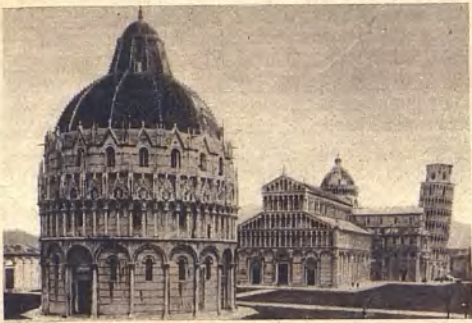
Jeden z największych historyków Pizy,  
Vasari, przekazuje nam dokładne dane  
w związku z „narodzinami“ Krzywej Wie-  
ży. Działo się to w r. 1173, gdy „przez Wil-  
helma, narodowości (jak sądzę) niemieckiej,  
oraz Bonanno Pisano, rzeźbiarza“ — pisze  
Vasari — została zapoczątkowana budowa  
wieży na placu katedralnym, w pobliżu mur-  
ów miasta. Ostatnie badania zmierzają do  
wykazania, że ów Guglielmo był rodowitym  
pizańczykiem. Nie wiadomo jednak, ile w tej  
wersji prawdy.

Niezbyt rażno szło dzieło. Pewnego dnia,  
gdy budowla wznosiła się do trzeciego pię-  
tra, miękki w tem miejscu grunt zapadł się  
niespodziewanie. Budowę natychmiast prze-  
rwano. W tym stanie konstrukcja prze-  
trwała do r. 1233, kiedy to budowniczy ka-  
tedry, Renato, postanowił, po wzmocnieniu  
fundamentów, kontynuować dzieło. Potem  
kilkakrotnie pracę przerywano, aż wreszcie  
w połowie XIV. w., dzięki inicjatywie je-  
dnego z najświetniejszych artystów, jacy  
działali w Pizie (a bywał tu kilkakrotnie  
Michał Anioł, Donatello i in.), Tomasza  
z Pizy, którego dziełem jest m. in. uniwer-  
sytet pizański, jeden z najstarszych we Wło-  
szach, budowa została ukończona. Sławę  
„torre pendente“, jej rozgłos pomnożyły  
studja Galileusza, który tutaj czynił do-  
świadczenia w związku ze spadaniem ciał.  
Informuje o tem wyczerpująco tablica,  
wmurowana wewnątrz wieży, na lewo od  
wejścia.

Jak już zaznaczyliśmy, stara, najbogatsza  
w zabytki Piza rozciąga się na pra-  
wym brzegu rzeki. Po lewej stronie Arna  
mieszczą się nowsze budowle. Tę część  
przecina pizańskie corso — via Vittorio  
Emanuele, biegnące od rzeki do nowocze-  
snej stacji kolejowej rozbudowanej z wiel-  
komijskim rozmachem.

I niewiadomo, czy starszeństwo prawej  
strony grodu napawało jej mieszkańców ta-  
ką dumą, że z lekceważeniem spoglądali na  
„lewoobrzeżny motłoch“, czy też przyczyną  
pogardy była obcość „tłumu“, będącego ele-  
mentem napływowym — dość, że między  
obu stronami panował w średniowieczu  
ostry antagonizm, który nieraz znajdował  
ujście w krwawych walkach, mających za  
teren głównie most, łączący oba brzegi —  
Ponte Vecchio, zwany też Ponte di Mezzo.  
Prawdopodobnie wina leżała po stronie bo-  
gatego, pełnej wspaniałych, możnych zam-  
ków Tramontany (do dziś zachowana wśród  
ludu nazwa prawego brzegu, dosłownie: za-  
chód), która, znajdując się bliżej portu, ma-  
jąc dostęp do możnych miast, nie dopusz-  
czała ubogiego Mezzogiorna (nazwa strony  
przeciwnej: południe) do udziału w handlu,  
skupiającym się głównie po jej stronie, wy-  
stawiając niejednokrotnie strażę na moś-  
cie. Aż pewnego czerwcowego dnia doszło





Katedra pizańska — w głębi słynna Krywa Wieża.

do formalnej bitwy, w czasie której obie strony, doskonale uzbrojone, pod wodzą swoich magnatów, walczyły z niezwykłą zaciętością, starając się za wszelką cenę przeforować Ponte di Mezzo. Po długich zmaganiach zwycięstwo przypadło w udziale prawobrzeżnym, lepiej wyekwipowanym za-  
stępom.

Minęły lata. A gdy wzajemna nienawiść ustąpiła miejsca nienawiści do wspólnego wroga, Florencji, która zagarnęła miasto, pogodzone strony postanowiły rocznicę bitwy święcić igrzyskami, nazwanymi „il giuoco del ponte”.

Ale niechęć tliła. Zdarzało się niejednokrotnie, że „pokojowe” igrzyska pociągały za sobą ofiary, tak zcięte boje staczano. Taki stan rzeczy spowodował na początku XIX. w. zaniechanie uroczystości. Italja faszystowska, świadoma znaczenia tradycji w życiu społecznym, zdając sobie równocześnie sprawę z siły atrakcyjnej widowisk, opartych na motywach historycznych, wskrzesiła „giuoco del ponte”.

Zbliża się dzień sławnych igrzysk, którym w całej Toskanji... ba! w Italji całej równych nie spotkać, nadchodzi godzina bohaterskich zmagania Tramontany z Mezzogiornem! Błada mieszkańcy jednej strony, któryby w tym okresie wszedłszy w „królestwo” przeciwnika, niebacznie ubliżył mu, wyrażając się lekceważąco o jego sile, czy też podając w wątpliwość jego szanse zwycięstwa. Natychmiast otoczy go gawiedź i wśród naigrasów, złorzeczeń i drwin aż poza Ponte Vecchio przegoni.

Oto już powiewają z okien i balkonów sztandary znamienitych rodów Mezzogiorna, oto na murach pojawiły się manifesty, nawołujące do stawienia czoła nędnym wojskom Tramontany, która zresztą, bez-

wątpienia, na sam widok „naszych wspinających hufców” pierzchnie w popłochu. — „Oto już łopocą na wietrze nasze dumne chorągwie, a szcęk oręża trwogą przejmują wrzastające” — takimi słowami rozpoczyna się manifest. Zwycięzmy! Już i mnie ogarnia gorączka wojny, i ja w podnieceniu czekam na emocje następnego dnia. Ulicami krąży ciżba ludzka, śledząc wśród żywych sporów i dyskusji przygotowania, po-



Kościół San Pierino i w głębi kolumna Pierino da Vinci.



Na prawo: Widok na Lung'Arno, ze starożytną cytadelą na pierwszym planie.



przedzające „dzień krwi i chwały”. Po obu stronach mostu ustawiono wzorzyste namioty wodzów, przed którymi już trzymają straż rycerstwo. Kamienice, biegnące wzdłuż Arna (Lung'Arno — centrum Pizy) pokrywa się koronką żarówek, które jutro rozblysznią milionem światła, tworząc bajeczne efekty. Przygotowania trwają całą noc, by miasto wystąpiło jaknajgodniej przed gośćmi, którzy zjadą tu z całego świata.

A kiedy nadszedł dzień rozgrywki, skapaną w słońcu Piza wróciła w pyszną przeszłość, pełną barwnych strojów i majestatycznego splendoru sztandarami zasnutych pałaców. Ulice zatętniły barwnym tłumem mieszczan, żaków i rycerstwa, pokryły się wysepkami kramów, w których wszelkiego rodzaju przysmaki kupić można: więc ostryg różnorodność, słodczy moc nieprzebrana od zwykłych, w pstre kolory malowanych cukierków, do wysmienitego „lorraine” (nugat) z miodem i owocami, kielbasę rodzynkami nadziewaną, a przede wszystkim kwasów owocowych obfitość, by żar upalnego dnia znośniejszym uczynić.

Zaroili się brzegi rzeki... Dzwony obwiesciły, że moment, na który czekali, nadchodzi. Po rzece płyną średniowieczne gondole, w których przewoźnicy barwnymi strojami się puszą, majestatycznie w pobliżu Ponte di Mezzo krążąc. Na brzegach gwar wzbiera: wojska Tramontany i Mezzogiorna szykują się do przeglądu, poprzedzającego bitwę. Już przed trzema magnatami, potomkami wodzów z czasu pamięt-



Krem Nivea od zł 0,40 do 2,60  
Olejek Nivea od zł 1, — do 3,50

PEBECO Spółka Akcyjna w Poznaniu

## Wzmacniam skórę i ułatwiam opalenie cery!

Z całym zaufaniem można używać kremu, olejku lub olejku orzechowego, jeżeli za ich jakość gwarantuje napis „NIVEA”. Jedynie NIVEA zawiera EUCERYT, środek wzmacniający skórę. W tym tkwi sekret pięknej sportowo ogorzałej cery. NIVEA zmniejsza też niebezpieczeństwo oparzenia słonecznego. — Wzmocniona NIVEA skóra wpływa dodatnio na zdrowie całego organizmu. Będziemy odporniejsi na nagłą zmianę pogody i wynikające stąd często przeziębienia.

Krem NIVEA znajduje się w handlu tylko w oryginalnych opakowaniach. Dobre i znane preparaty chętnie są naśladowane — przestrzegamy zatem przed nabywaniem kremu, sprzedawanego na wagę pod nazwą NIVEA.

nej walki defiluje z chrzęstem i tętaniem kawalerja, za nią piechoty mrowie. A nad oddziałami płaczą sztandarów łopocze, nadzieją krzepiąc serca Mezzogiorna. Ludność głośnie wrzawą i niemilkącym „evviva” wita swoją drużynę.

Przegląd skończony. Przed oddziały wojska występuje czterech heroldów i surmy rozbrzmiewają metalicznym wezwaniem. Zapada głęboka cisza. Serca uderzają mocniej. Pod błękit nieba wlatują ostatnie dźwięki pobudki. Teraz do boju, do zaciętych zapasów! Już na most z dwóch stron wstępuje rycerstwo, już włócznie poziomo, zaczepnie czekają na pierwsze zetknięcie... — A teraz szcęk oręża, o pancerze... Na moście skłębił się wir. Początkowo trudno wróżyć, kto zwycięży. Wreszcie radosny okrzyk dobywa się z piersi mieszkańców Mezzogiorna... Tramontana zamiera w zgrozie: jej oddziały łamią się, pierzchają, a w rękach rycerzy Mezzogiorna powiewa zdobytą sztandar. To już klęska Tramontany. — Prawobrzeżnym opanował popłoch, więc ratują się ucieczką lub w przerażeniu rzucają oręż i proszą o łaskę.

Po bitwie zwycięzcy wracają do swoich pieleszy. Ich wódz dosiada rumaka i przy-

Dokończenie na str. 14-tej.



# Preparat doktora Konstantego

JERZY JESZKE

N O W E L A

Trzy lata. Najwyżej jeszcze trzy lata życia, Konstanty zbyt dobrze znał swój organizm. Śledził bardzo skrupulatnie przebiegające w nim reakcje i procesy i nie miał co do tego żadnych złudzeń. Wynałaził nawet dla siebie formułkę biochemiczną.

A więc trzy, zgóra trzy lata.

Przez trzy, dokładnie trzy lata, nie ruszał się Konstanty ze swojej pracowni. Nie pomogły żadne nalegania i perswazje. A przecież nie można było przypuszczać, że czyni to jedynie z powodu rażącej ułomności, jaką miał od dzieciństwa. Jego wielki garb przy małym wzroście bywał często przyczyną ukrytych drwin i uwag. Zdolności jednak i głęboka wiedza Konstantego wzbudzały powszechny podziw i szacunek. Mówiono często z przekąsem, że w tym wielkim garbie tkwi cały jego rozum. W gimnazjum przechodził go Wielkim Garbusiem. Garbusiem Wielkim pozostał również na studiach chemicznych. Znany był też ogólnie jako tęga głowa przy kieliszku i nikt nie był w stanie dorównać mu w kompanii.

Początkowo widzieć można było młodego dr. Konstantego, przesiadującego w najbardziej znanych i popularnych lokalach. Liczne grono młodych uczonych i wielbicieli towarzyszyło mu zwykle w tych „posiedzeniach”. Aż przyszedł moment i dr. Konstanty przestał się udzielać publicznie. Przebąkiwano, że to skutki nieszczęśliwej miłości, że genialny Konstanty oświadczył się kiedyś nieostrożnie i został z racji swego wielkiego ganbu i szpetoty odrzucony i z lekką wyśmianą.

Wczesne prace Konstantego w dziedzinie chemii stały się jednak wkrótce rewelacją naukową. Garbus Wielki znany był w świecie nauki nietylko z powodu swej ułomności, ile z racji swych doniosłych odkryć. Garbus Wielki był to raczej zaszczytny przydomek Konstantego, 27-letniej sławy chemik.

Po okresie głośnych publikacji, nastąpiła długa i niepokojąca cisza. Mówiono, że Garbus zaszył się w „laborce” i całymi dniami „smaży”, inni twierdzili, że się poprostu skończył. Rzadko, bo zaledwie raz na dwa tygodnie, zajeżdżał autem przed pracownię Konstantego jego przyjaciel Henryk. Wtedy widzieć było można zaszytą w kącie limuzyny, nikłą postać Garbusa. Te „porwania” zdarzały się coraz rzadziej od chwili, kiedy Henryk poślubił znaną z urody panią Ewę, córkę bogatego fabrykanta. Złośliwi mówili, że wprawdzie Konstanty szybko zdobył sławę uczonego, ale jego przyjaciel Henryk, również chemik, wynałaził lepszą formułkę i znacznie szybciej zrobił zawrotną karierę... matrymonialną.

A Henryk, nie wiadomo, czy przez snobizm, czy też chęć zaznaczenia, że powodzenie życiowe bynajmniej nie zawróciło mu w głowie, odwiedzał nadal swego zasuszonego przyjaciela. I stało się, że Konstanty został porwany na oficjalną wizytę i przedstawiony wraz ze swym garbem wielkim, pięknej i subtelnej pani Ewie. Było to ciężką udręką dla Konstantego. Od tej chwili nie opuszczał on swojej pracowni, tłumacząc się złym stanem zdrowia i brakiem czasu. Wierny jednak swym zasadom Henryk, odwiedzał go co pewien czas, poświęcając mu kilka minut ze swego cennego czasu.

Wielkie też było zdziwienie i zakłopotanie

Konstantego, kiedy w drzwiach jego pracowni zjawiała się dnia któregoś pani Ewa.

— Przyjechałam dzisiaj w zastępstwie Henryka, — mówiła wesoło, podając dłoń Konstantemu.

— A co się z nim dzieje? — zapytał mimowoli zaskoczony tą niezwykłą wizytą chemik.

— Ach, Henryk! — mówiła szybko pani Ewa. — Henryk jest od pewnego czasu nieuchwytny. Stałe w jakichś rozjazdach. A pan, jak widzę, zawsze na jednym miejscu (Jakiż on karykaturalnie brzydki — pomyślała w tej chwili. (Szczyt deformacji).

Małe, świdrujące oczka garbusa, przenikliwe aż do szpiku kości, spotkały się z oczyma kobiety, jasnymi i przejrzystymi.

Pani Ewa mimo umiejętności panowania nad sobą, poczuła się dziwnie zmieszana. Ten człowiek odkrył zapewne, co o nim przed chwilą myślała. Był to moment. — Uczucie wstydu podobne przy obnażaniu się.

— Przywykłem już do siedzenia ze zwykłej, naturalnej konieczności — mówił powoli Konstanty. — A przyznać muszę, że jest mi z tem zupełnie dobrze.

Pani Ewa wiedziała, że teraz właśnie coś trzeba powiedzieć, rzucić jakieś olśniewające zdanie, że trzeba wprowadzić nastrój czegoś subtelnego, a jednocześnie zniewalającego. Trzeba koniecznie wprowadzić w zakłopotanie tego niepozornego człowieka, onieśmielić go i rozbroić.

— Mam wiele podziwu dla pańskiej pracy — zaczęła spokojnie. — Henryk wiele mi opowiadał o panu i dlatego chciałam podobnie jak on, zyskać pana przyjaźń. Proszę mnie nie rozumieć, że przemawia przeze mnie w tej chwili litość czy współczucie. Widzę, a raczej odczuwam w panu pewne wartości, siłę, która promieniuje. Wiem, że podjął się pan mimo słabego zdrowia jakiegoś ogromnego wysiłku i że do zamierzonego celu dąży pan z uporem i konsekwentnie. Nie wiem, nad czym pan w tej chwili pracuje, ale z rysów twarzy, zaciętych, wykazywanych jakimś wewnętrznym bólem, wnioskuję, że proces tworzenia spalania owładnął już każdą żywą komórkę. Dlatego pragnęłabym, jeżeli to wogóle możliwe, wyrwać pana bodaj na pewien czas z tego kręgu, który się wokół pana zacieśnia coraz silniej. Czy nie wskazałoby teraz zastosowanie jakiejś odtrutki, czegoś, co stałoby się bodaj chwilowym odprężeniem? Zastanawiam się np. nad tem, kiedy pan sypia, czy pan przyjmuje posiłki, no i nad szeregiem innych t. zw. życiowych drobiazgów. Zawsze, ilekroć przejeżdżam autem obok pana pracowni, widzę pozapalane światła i czuję, że tam za szybami wre jakaś gorączkowa, wytężona praca, na trzy zmiany, człowieka samotnego i opuszczonego. Wyobrażam sobie, że to coś ponad ludzkie siły, że coś tajemniczego tkwi w tej pogoni za czasem, i że finisz przedstawia się groźnie i niemal tragicznie.

W czasie tej przydługiej oracji pani Ewy, Konstanty siedział nieporuszony i bezbarwny. A kiedy ostatnie słowa kobiety przebrzmiały, głos, którym przemówił Konstanty, był jak poprzednio spokojny i równy.

— Mówi pani o przyjaźni. Bardzo ją cenię. Jedną z cech przyjaźni jest jej bezinteresowność. Dlatego wdzięczny jestem za nią Henrykowi i jednocześnie zdaję sobie sprawę z olbrzymiego długu ciążącego na mnie z tytułu tej właśnie przyjaźni. Nowa przyjaźń, to nowe długi.

— A przecież według pana, cechą przyjaźni jest bezinteresowność, a gdzie jest bezinteresowność, nie istnieje obawa długu. A jeśli chodzi już o kwestię długu, to spłaca go pan codziennie swoją pracą.

— Ach, praca, praca! — mówił uśmiechając się Konstanty. — Przecież pracować musimy. Praca, to raczej samozadowolenie, pewna forma egoizmu. To bardzo podnieca i sprawia, że nie odczuwamy dręczącej świadomości sennego przemijania.

— Ależ praca twórcza jest chyba szczytem wszelkiej udręki!

— Tak — kończył Konstanty — jeśli sięga poza granice naszych możliwości, poza granice przyrodzonych zdolności, poza intelekt, słowem poza własne ramy.

Pani Ewa czuła już wyraźnie, że nie znajduje żadnego argumentu. Zrezygnowała z rozmowy na tematy łatwiejsze i potrafiła na uwiędłej twarzy Konstantego wywołać kilka przelotnych uśmiechów. Po półgodzinnej rozmowie pożegnała się z nim serdecznie uściskiem dłoni i siedząc w aucie przy kierowcy, długo myślała o tym małym zgarbionym człowieczku, który mimo swej odpychającej brzydoty, stał się nagle dziwnie bliskim i znajomym.

Mineło znów kilka tygodni, w czasie których Konstanty pozostawał sam w ścianach swojej pracowni. Odprowadził nawet służącego, który przynosił mu jedzenie i zajmował się sprzątaniami mieszkania. Na jedzenie i spanie nie było poprostu czasu. Wizyta Ewy pozostawiła na jego twarzy ślady jakichś gorączkowych rumieńców. Jej obecność w ścianach pracowni, zapach jej perfum, echo słów, każdy gest i spojrzenie, pozostały dotąd żywe i niezatarte. Czuł jeszcze dotknięcie jej dłoni przy pożegnaniu, ciepło jedwabnego naskórka w momencie zwarcia rąk. W związku z tem, przypomniało mu się znane w medycynie starożytnej powiedzenie: febris modica idearum fecunditatem et eloquium dat. A zatem był to stan umiarkowanej gorączki, która wprowadza płodność myśli. Konstanty zastanawiał się nad tym niewytłumaczonym procesem chemicznym, który w nim zaszedł tak nagle, nad tą przedziwną transplantacją energii, wywołującej przyspieszony rytm serca i zwiększone ciśnienie krwi. Czuł, że odbywające się w nim reakcje następują w przyspieszonym tempie, że wkroczyły tu jakieś prawa, nie objęte formułą chemicznego wzoru. Próbował przeprowadzić szczegółową analizę przebiegu tego zjawiska, aby w rezultacie otrzymać coś, coby nazwać można „uściskiem syntetycznym”. — Konstanty stwierdził przytem, że wstrzykiwanie podskórne sztucznego serum nie rozwiązuje problemu. Działanie roztworu soli fizjologicznej podnosi tylko ciśnienie krwi i zmienia jej koncentrację. A tu wszak chodziło o coś zupełnie innego.

Konstanty wiedział również dokładnie, że proces spalania się własnego organizmu następuje nieuchronnie i że trzeba się spieszyć.

Dokończenie na str. 14-tej.







Dokończenie ze str. 12.

Kiedy wreszcie odpowiednie serum zostało sprecyzowane, Konstanty poczynił kilka doświadczeń na sobie i dopiero wówczas odetchnął z uczuciem niewysłowionej ulgi.

Preparat jego został nazwany „serum EHK<sup>10</sup>” od pierwszych liter trzech imion: Ewy, Henryka i Konstantego. Liczba dziesięć wskazywała na dziesięciokrotną siłę działania, którą się uzyskuje przez zastosowanie jednej dawki. Tajemnica „uścisku syntetycznego” została chemicznie odkryta i ujęta w ścisłą formułę. Krótka wizyta pani Ewy w pracowni Konstantego stała się od tej chwili datą w historii naukowych odkryć.

Kiedy po dłuższej nieobecności zjawiał się w drzwiach pracowni Henryk, siedzący zazwyczaj nieruchomo Konstanty zeskoczył nagle ze swego zydelka jakimś zwinnym kocim ruchem i balansując w powietrzu swoim wielkim garbem, wyciągał na przywitanie małą, suchą i prawie dziecięcą dłoń.

Tego dnia Konstanty był niezwykle ożywiony.

— To wspaniale, że mnie odwiedziłeś, Henryku. Popatrz! — mówił, wskazując na wielką retortę w białych oparach. — Trzecie doświadczenie skończone. Widzisz ten osad krystaliczny? To już prawie gotowy preparat. Na tej kartce masz skład chemiczny. Cały materiał, dokładny opis przebiegu doświadczenia i wzory znajdziesz w tej zielonej tece. Ale, ale! — mówił podniecając się coraz bardziej, — zapomnielibym o tem, co najważniejsze. Tu jest klucz do mojego mieszkania. Rano... tak, zaraz z rana... rozumiesz, no jutro... przyjdiesz prosto, otworzysz drzwi tym oto kluczem, a tu na stole wszystko już będzie przygotowane.

Klucz, który Konstanty pospiesznie wsunął przyjacielowi do ręki, przeniknął go nagle przecuciem nieokreślonego bliżej lęku. Henryk stał dłuższy czas w milczeniu, spoglądając na swego przyjaciela, do znów na klucz i szukał między tym martwym, chłodnym przedmiotem a osobą Konstantego jakiegoś logicznego związku.

— Jak to? Nie rozumiem — zapytał po chwili. — A więc wyjeżdżasz?

— No, tak — mówił Konstanty, unikając wzroku przyjaciela. — Właściwie tak. Jestem, rozumiesz, trochę przepracowany, a zenszła wiesz, dość mam tego siedzenia na jednym miejscu. Przecież to już trzy lata. Ale jestem zadowolony — mówił znów, podniecając się niezwykle. — Nawet nie wiesz Henryku, jak bardzo się cieszę. Tak, wierz mi przyjacielu, tylko praca i jedynie praca daje właśnie takie zadowolenie i szczęście. Dopiero teraz czuję prawdziwą, wielką radość, rozumiesz, radość twórcy. Tak. Ja taki właśnie pokurcz, taka imitacja człowieka, dopiero teraz czuję siłę męską, tę siłę, która mnie wyzwała z więzów skarlałego ciała....

Henryk przypatrywał się przyjacielowi z narastającym niepokojem i nie poznawał go. Ten cichy, małomówny, niezwierający się nigdy ze swoich zamierzeń badacz, wpadł nagle w jakiś trans krasomówczy.

— Jest to praca — mówił teraz jednym tchem Konstanty — z dziedziny fizjologii mózgu i transplantacji energii psychicznej. Wiemy, że im intensywniejszy jest dopływ krwi do mózgu, tem jego odżywianie staje się lepszym, a zatem zwiększa się jego sprawność funkcjonalna. I odwrotnie. Słaby przypływ krwi wpływa na osłabienie aktywności psychicznej. Wiemy również, że w umiarkowanej gorączce około 38,5°, a więc przy wysokim parciu krwi, następuje znaczne wzmoczenie aktywności psychicznej i sprawa, że procesy duchowe stają się żywsze, intensywniejsze i bardziej zróżniczkowane. Serum EHK<sup>10</sup>, rozwiązuje jednocześnie, problem przedłużania życia w sensie zwielokrotnienia energii psychicznej. Nie przedłuża ono bynajmniej procesu spalania naszego organizmu, nie jest tak zwaną receptą na długowieczność, ale pozwala nam żyć z pewną szybkością, rozszerza znacznie granice naszych możliwości duchowych. Mówi się popularnie, że człowiek przespia niemal połowę swego życia. Strata czasu, niezbędna na odpoczynek, była oddawna troską tych wszystkich, dla których każda minuta nieczłowieczna jest na wagę złota. Serum EHK<sup>10</sup>, pozwala nam na pracę umysłową intensywną, długotrwałą, bez żadnych oznak wyczerpania. Potem następuje bardzo krótki, ale krzepiący sen. Dzięki temu uzyskujemy dziesięciokrotne wzmoczenie aktywności psychicznej, czyli przeżywamy normalny rok kalendarzowy z szybkością lat dziesięciu. Inaczej biorąc, żyjemy przeciętnie nie 50, ale 500 lat. Teraz możemy wyobrazić sobie tempo postępu całej ludzkości i wynikające stąd dobrodziejstwa.

Kiedy Henryk pożegnał Konstantego, miały nim dziwne obawy i przecucia. A może Konstanty stoi już na granicy obłędu? Może ten genialny chemik, sięgający tak odważnie po tajemnice bytu, przekroczył prawa wytyczone rozumowi ludzkiemu. Może to wreszcie maniak, albo poprostu chory, wyczerpany nadmiarem pracy, człowiek.

— Zupełnie dobrze robi, że wyjeżdża — pomyślał Henryk. Ale co znaczy ten klucz i całe to jego zachowanie, te rumieńce na twarzy — i dlaczego właśnie jutro ma przyjechać do pracowni.

— Nie, tu stanowczo coś jest nie w porządku!

Tej nocy Henryk długo nie mógł zasnąć. Myśl o przyjacielu wracała ciągle i uparcie. Kiedy wreszcie nad ranem zupełnie już znudzony usnął, przysnił mu się jego przyjaciel Konstanty. Leżał on na trawie twarzą do ziemi, a wielki jego garb wznosił się jak góra wysoka i niedostępna. Henryk próbował wspiąć się na jej wierzchołek, ale nadermnie. Męczył się tylko, a szczyt zawsze

pozostawał niedostępny. Wtedy to dłoń Konstantego sucha i koścista, dłoń dziwnie ciepła, rozsiewająca zapach perfum, jakich używała Ewa, ta dłoń wyciągnęła się w jego stronę i pomogła wspiąć się na sam szczyt. A wtedy słońce ogromnie jasne, wielkie słońce zaświeciło nad jego głową.

Kiedy Henryk zbudził się ze snu, w pokoju było wiele słońca, a z ogrodu dolatywał wesoły rozgwar płactwa.

— Co za sen — pomyślał — ubierając się szybko. — Sypiałem zwykle dobrze i nie miałem żadnych marzeń.

— Ach! — ten klucz — mam go tu w kieszeni — przypomniał sobie, dotykając martwego przedmiotu.

Trzeba się spieszyć!

Łśniące auto pomknęło szybko w kierunku pracowni, gdzie od lat przebywał Konstanty. Ręce Henryka, spoczywające na kierownicy, drżały lekko i całym jego ciałem wstrząsał od czasu do czasu dreszcz niepokoju.

Przed willą, w której mieściła się pracownia Konstantego, było, jak zwykle, spokojnie i tylko hałasowały wróble. Dopiero teraz zauważył Henryk, że nad oknem pracowni uwiły sobie gniazdo jaskółki. Ich pisk radośny przesyłał od czasu do czasu powietrze.

Henryk odetchnął z uczuciem ulgi.

Długo manewrował kluczem w zamku, zanim ustąpiły drzwi. W pracowni była cisza. Pośrodku przy głównym stole obok retort, próbek i przyrządów do doświadczeń leżał na ziemi Konstanty. Wielki jego garb sterczał wyniośle nad całym ciałem, a ręce jego o wywiniętych do góry dłoniach, podobne były do skrzydeł zestrzelonego ptaka.

Na stole z niezamkniętej koperty wyglądał skrawek zapisanego papieru. Henryk wyjął go z pośpiechem i czytał.

Drogi Henryku!

Przedewszystkiem będziesz rozczarowany. To nie samobójstwo, ale poprostu śmierć, zwykła, najzwyczajniejsza śmierć albo sen (to nawet lepiej brzmi). Wyliczyłem to sobie kiedyś dokładnie, że dłużej nie pociągnę jak trzy lata. Chciałem ten czas wykorzystać jak tylko można. Miałem ambicje naukowe. Chciałem po sobie coś zostawić. Męczyłem się długo. Dopiero przybycie Twojej żony, Pani Ewy dało mi rozwikłanie problemu. Jej to przedewszystkiem zaudzięczam, że umarłem w porę, t. zn. po dokonaniu swego dzieła. A więc Jej i Tobie mam wszystko do zaudziękowania. Ty byłeś mi przyjacielem, Ona iskrą natchnienia. Zostawiam Wam moją pracę i proszę, zaklinając Cię na naszą przyjaźń, abyś Ją wydał pod swoim nazwiskiem i jako własną. Wiesz, że nie mam absolutnie nikogo z rodziny. Sława potrzebna jest żyjącym. Mnie wystarczy zadowolenie, że przecież nie zmarowałem czasu.

Wasz przyjaciel Konstanty.

To były ostatnie słowa, skreślone ręką genialnego chemika.

Dokończenie ze str. 11-ej.

muje z rąk swego rycerstwa zdobyte w walce sztandary. Teraz czas na hold, który przypieczętuje klęskę Tramontany. Patrzcie: na most wstępuje pokonane wojsko. Przodem kroczą dobosze i w takt załobnego werbla posuwają się zgnębione szeregi. Na środku mostu czoło pochodu przystaje, — odrywa się od niego jeździec, dając ku obozowi zwycięzców. Tam zsiada z konia, a podszedłszy z pokorą do wodza, prosi go, by raczył przyjąć hold Tramontany. Otrzymawszy przyzwolenie, powraca do swoich. Znów warczy werbel, chorągwy pokonanych porusza z wolna żółtym sztandarem, który faluje w rytm pochodu. Na maszt, zatknięty na moście, wypływa

chorągiew triumfatorów. Mezzogiorno syci oczy klęską odwiecznego wroga, patrząc, jak wódz pokonanej drużyny korząc się, przykłęka przed wodzem zwycięzców i sztandary do stóp mu ścieląc.

Teraz do późnej nocy odbywają się uroczystości: błyszczą frontony kamienic, wyhaftowane w najkunsztowniejsze wzory rojem żarówek. Nad powierzchnią Arna tryskają race ogni sztucznych i płyną wspaniale przystrojone łodzie, pełne rozbawionej, tańczącej młodzieży. Pomarańczowym światłem ocieka przyklejony do lewego brzegu rzeki misterny kościółek Santa Maria della Spina, — marmurowe arcydzieło, które Amerykanie chcieli kupić za cztery miliony dolarów, by przewieźć je w całości

do siebie, — drży roziskrzony pałac Medyceuszów, jedno z najkunsztowniejszych dzieł Odrodzenia w Pizie, wykonane przez braci Nino i Andrea Pisano, — mieni się tysiącem światła pałac Toscanelli, który w r. 1822 gościł Byrona. Całe Lung'Arno wydłuża się w oślepiającą wstęgę blasku aż hen, ku masywowi starej cytadeli.

Widowisko pozostawia niezatarte wspomnienia. Żaden naród nie dorówna Włochom w umiejętności odtworzenia i uplastycznienia barwnych momentów przeszłości. Italia faszystowska doprowadziła tę sztukę do perfekcji. A stare miasta włoskie, ich dostojne zabytki są dla tego rodzaju widowisk wymarzonem tem.

Juliusz Manber.



**C**zyś widział już „czarną wdowę”? A jak ci się podobała? — oto pytanie, którym mieszkańcy Londynu rozpoczynali swe rozmowy w ostatnich paru tygodniach. Co więcej — „czarna wdowa” znalazła się i na szpaltach dzienników, nie wyłączając poważnego „Timesa”, a nawet stała się przedmiotem — rzecz prawie nie do wiary — interpelacji w angielskim parlamencie.

„Czarna wdowa”, niezbyt wielki pająk barwy czarnej, został przed kilkoma tygodniami przywieziony do londyńskiego Zoo. Najgroźniejszy w świecie pajaków, bo ukąszenie jego może spowodować śmierć, podobnie, jak ukąszenie jadowitego węża. Z niemąłą też ostrożnością musiano obchodzić się z tymi niebezpiecznymi pasażerami w czasie podróży okrętami, starając się uniemożliwić im ucieczkę, a z drugiej strony opiekując się nimi troskliwie, by cało dojechali do celu podróży — Zoo w Londynie.

Anglicy znani są ze swych zamiłowań do zwierząt. Liczne też są w Anglii różnorodne towarzystwa przyrodnicze, nie brak zwierzyńców i ogrodów zoologicznych, z których na pierwsze miejsce wysuwa się Zoo londyńskie, starające się stale o zwiększenie swego inwentarza. Gdy więc rozeszła się wiadomość, że nowym mieszkańcem ma być najjadowitszy pająk świata, zelektryzowała ona wszystkich i tłumnie podążano, by oglądać egzotycznego gościa.

Przyczyną tak tłumnego odwiedzania terrarium, specjalnie zbudowanego dla wykluczenia ucieczki pajaków, była także wieść, która się szybko rozniósła, o niezmiernie krwiożerczych instynktach samicy tego pająka. Tak, jak to czynią i samczki innych gatunków pajaków, „czarna wdowa” toleruje sąsiedztwo swego małżonka tylko do czasu. Zakończeniem okresu godowego jest gwałtowna śmierć małżonka, pożerana przez własną „żonę”. To zainteresowało Londyńczyków, którzy formalnie obiegali terrarium, aby być świadkami tak niezwykłego końca miłości pajęczej i to właśnie w pierwszym rzędzie spowodowało interpelację w parlamencie.

Jeden z interpelantów wywodził, że pokazy tak krwiożerczych zwierząt powinny być

**Na prawo: Oto scena, kiedy „czarna wdowa” — spokojna już o potomstwo, osnuwa swego pajęczego małżonka srebrnymi nitkami, by go tak unieruchomionego wkrótce potem pożreć...**

zach. stany Ameryki północnej. W niektórych okolicach nosi ona również nazwę „czarnego pająka”. Ponieważ obszary, na których te pająki przebywają, są naogół puste i suche i nie dostarczają im odpowiednich kryjówek i schronienia tłumnie wędrują one do każdego nowobudującego się domu w danej okolicy, ku utrapieniu mieszkańców. Intensywnie prowadzone w ostatnich latach badania nad życiem „czarnej wdowy” wykazały, że zajmuje ona również bardzo chętnie nory, opuszczone przez kolumbijską wiewiórkę (*Citellus columbianus*). W podziemnych bowiem gniazdach i korytarzach znajduje dla siebie obfite pożywie-

**Poniżej: Wielki jadowity pająk brazylijski tarantula, którego wielkość można ocenić, porównując obok umieszczoną dłoń chłopca.**



# „CZARNA WDOWA”

zamknięte, by u zwiedzających nie wzbudzać niezdrowych instynktów. Ponadto podnoszono możliwość niebezpieczeństwa ucieczki jadowitych pajaków, które mogłyby stać się postrachem londyńskich parków i zieleńców, skąd już łatwo przedostałyby się i do ludzkich mieszkań. Gdy ze strony zarządu ogrodu zoologicznego próbowano uspokoić zaniepokojoną część opinii publicznej przez podkreślenie zastosowania specjalnych środków ostrożności i bezpieczeństwa dla uniemożliwienia ucieczki czarnym pajakom, podniesiono sprawę niebezpieczeństwa w razie nieprzyjacielskiego ataku lotniczego. W tym przypadku, gdy bomba lotnicza spadnie na któryś z obiektów ogrodu zoologicznego, ucieczka pajaków w powstałym zamieszaniu może zostać łatwo niespostrzeżona a później ich wytępienie w razie rozmnożenia się na wolności trwałoby całe lata.

Tyle zainteresowania i wrzawy wzbudziły niepozorne, chociaż groźne pająki.

„Czarna wdowa” — „black widow” — (*Latrodectus mactans*) spokrewniona z naszym pajakiem domowym, zamieszkuje pol-



**Gruzoł jadowy „czarnej wdowy” jest zakończony kolcem, który pająk wbija w ciało swej ofiary.**



**Głowa pająka tarantuli.**

nie, złożone z owadów, a także schronienie na zimę. Podobnie większe ilości tych pajaków, jak i ich kokonów odnajdywano w opustoszałych królikarniach, gdzie hodowano króliki dla otrzymania wełny.

Ukąszenie tego pająka uchodzi za niebezpieczne zwłaszcza dla bydła domowego, które często pada ofiarą jego jadowitości. Znałe są również wypadki ukąszenia ludzi, często śmiertelne. Notowane ukąszenia człowieka były zadawane przez samice. Dwie małe ranki, jednak dostatecznie wielkie dla wsączenia trującego jadu, zadaje „czarna wdowa” podobnie, jak i inne pająki, szponami szczękoroży. Przez kanaliki, połączone z gruczołem jadowym, spływa trująca ciecz do ranki. Ukąszenie wywołuje ostry ból, podobny do tego, jaki odczuwa się po wbiciu żądla przez pszczołę lub osę. Niedługo po ukąszeniu występują objawy zatrucia organizmu, połączone z gorączką, wystąpieniem zimnego potu, brakiem tchu i uciskiem na serce. Zwykle po dwóch dniach, czasem po dłuższym okresie objawy te ustępują i chory powraca do zdrowia, nieraz jednak stan choroby przedłuża się. Stopień zatrucia organizmu jadem tego pająka zależy od wielu okoliczności. Łatwiej podlega zatruciu organizm słabszy, a więc n. p. dziecko, aniżeli człowiek donosły, groźniejsze są następstwa ukąszenia, gdy nastąpiło ono w dzień upalny

i gdy pająk wsączy do rany większą zawartość jadu. Najgroźniejszym jednak jest ukąszenie wtenczas, gdy jad dostanie się od razu do obiegu krwi, bo wtedy następuje śmierć, zwłaszcza w braku szybkiej pomocy lekarskiej. Trujące działanie jadu polega na rozkładzie czerwonych ciałek krwi.

Współżycie mieszkańców z „czarną wdową”, zwłaszcza w południowej Kalifornii, bynajmniej nie jest miłe. Wielka ilość pajaków, stale zresztą wzrastająca, stała się prosto plagą. Niemal żaden dom mieszkalny nie ostoł się przed ich uprzykrzonym towarzystwem. Mieszkańcy usiłują więc różnymi sposobami pozbyć się owych natrętnych i nieproszonych gości.

Ostatnio jako środek zwalczania owych utrapionych pajaków podano projekt wprowadzenia do Kalifornii olbrzymiej, bo 25-centymetrowej długości południowo-amerykańskiej ropuchy agua (*Bufo marinus*). Podniosły się jednak głosy sprzeciwu raz dla tego, że niebezpiecznym jest wprowadzanie do fauny krajowej obcych elementów, które

*Dokończenie na str. 20-tej.*



Pokój muzyczny, którego urządzenie cechuje pretensjonalność.

Buduar, utrzymany w jasnych tonach, z stylizowanymi mebelkami.

Poniżej:  
Jadalnia  
angielska.

W kole:  
Anita Louise  
ze swą matką  
przy śniadaniu.

Sypialnia z dużą, lustrzaną ścianą, powiększającą optycznie pokój.

# JAK MIESZKAJĄ GWIAZDY FILMOWE?

Home  
Anity Louise



Pokaż mi jak mieszkasz, a powiem ci kim jesteś; oto jedna z wielu odmian tej figury artystycznej, w którą zależnie od okoliczności wstawia się różne liczby przy tym samymianowniku. Sądzę jednak, że wstawienie w nią słowo mieszkanka nadaje jej maxime trafności. Awansując to mniemanie, nie tracę znu kwestii możliwości materialnych. Oczywiście jest bardzo nawet wysoko stojący pod względem intelektu, kultury, czy choćby sfery towarzyskiej, jest biedny, może mieszkać wprost w niedostatkach, ale zawsze w jego mieszkaniu zaznacza się szczyt, świadczący o jego poziomie, bo zawsze osobistość człowieka w ten czy w inny sposób przejawia się wszędzie, co stało z nim blisko się styka. Aż dla czego właśnie mieszkanie uważam za takłe miarodajne?

Dzisiaj bardziej niż dawniej daje się zauważyć pewne rozdwojenie u każdego pracującego człowieka między jego postawą moralną i jego życiem zawodowym — publicznym, a jego ciemnym prywatnym — domowym. I tak nieraz pa namaszczona wysoki urzędnik, szef-półbóg biurowy dla wielu podwładnych, zanosi po gminie trzęsienie swe dostojęstwo do wulgarnego mieszkania, gdzie króluje między grubą i niewykształconą żoną, a służącą garkotłukiem. Odwrotnie też, kulturalny intelektualista, nie mający do przebojowych walorów, jak na dzisiejsze czasy wskutek tego zajmujący podrzędne stanowisko, powracając do domu bierze symboliczny tusz, płótno z niego wszystko, czem był w ciągu dnia do tej chwili i zaczyna życie w atmosferze poprzednio wspomnianego szefa niedostępnej góry, wyrabiali sobie o nich zdanie, oglądając wnętrza, w których pracują, przeciwstawienie skromnego biurka referenta, z obronnym pierścieniem, zwoznych gabinetem szefa mogłoby nas zmylić. Tymczasem oglądnięcie mieszkań obu panów, napadłoby nam trafne pojęcie, czem który jest naprawdę.

Czasami jednak czyjeś mieszkanie jest innym światem w stosunku do jego pracy zawodowej, ale jest też pracy przedłużeniem. Ma miejsce wszędzie tam, gdzie z pracą łączy się łama lub reprezentacja. Wówczas mieszkanie jest łagane do potrzeb zewnętrznych, a wydatki na wchodzą jakoby w skład kosztów prowadzenia resu. Czy z takiego mieszkania można także wywnio-

ski o jego właścicieli? Sądząc, że tak, a to nawet tembardziej, że w takich wypadkach z natury rzeczy możliwości materialne są znacznie większe, a tem samem możność wykazania, czego się naprawdę pragnie i co komu dogadza

Mieszkania gwiazd filmowych są to typowe mieszkania złączone ściśle z zawodem właścicieli. Pamiętajmy, że amerykańskie wytwórnie filmowe stale prowadzą propagandę swych gwiazd, a ich życie prywatne jest główną kanwą tej propagandy. Każda wschodząca gwiazda musi w świecie filmowym zająć godne stanowisko i zadokumentować swoją rangę gwiazdy nie tylko odpowiednimi rolami w filmach, ale także odpowiednimi strojami, samochodem i mieszkaniem.

Willi w Beverly Hills, uroczym położonej dzielnicy kalifornijskiej stolicy dziesiątej muzy, jest legitymacją, że się jest grubą rybą filmową, czy to gwiazdą, czy reżyserem. Propaganda zwykle nie może czekać; jeśli ktoś z wybrańców losu zostaje gwiazdą, sprawę swego domu musi załatwić nie rozkładając tego na zbyt długi okres czasu. Ale od czegoż jest się w Ameryce, kraju możliwości i standardu. Nie raz kupuje się willę z całym urządzeniem, z larami i piernatami, po zmarłej lub zdegręgowanej gwiazdzie, albo można załatwić to przez odpowiednią firmę, zajmującą się urządzeniem wnętrz, aż do ustawienia popielniczek włącznic. Trzeba przyznać, że takie firmy w Ameryce mają przeważnie znakomite siły fachowe, i że luksusowe wnętrza są naogół naprawdę gustownie urządzone.

Dokończenia na str. 20-tej.





Jędrzej Śniadecki (Sotwaros), prezydent „Towarzystwa Szubrawców”.



Ignacy Szydlowski, „namiestnik mówcy”.



Michał Baliński, „strażnik łopaty”.



Leon Borowski, „mówca” szubrawski.

tych krainach: Nipu, Eldorado, Balnibarbi, Ryspa, Laputa, Santyllana i t. p., nieskończone wędrowki „szlachcica na łopacie”, listy nie istniejących korespondentów, często znaleziono w nadzwyczajny sposób, djalogi na ziemi i w państwie cieniów i t. d.), z poza tych szat arlekińskich, w które przybierała się myśl satyryczna „Szubrawców”, wyzierała ku nam jasne, otwarte, myślące twarze tych mężów światłych i rozumnych. Owe „wesole a dostojne” grono wzięwszy w spadku myśl postępową po zeszytym w grób w lunach pożarów wieku „oświecenia”, po Spectatorach angielskich i naszych Monitorach, tych słynnych w owym czasie pismach satyrycznych, po Swiftie i Addisonie, Krasickim i Niemcewiczu — wypowiedziało walkę zaciętą ciemnocie i nieobyczajności, trzeba chwasty pychy rodowej, przesądów

# „TOWARZYSTWO SZUBRAWCÓW”

W lipcu br. odbył się kilkudniowy zjazd chemików polskich w Wilnie, połączony z obchodem 100-nej rocznicy zgonu Jędrzeja Śniadeckiego, wybitnego profesora uniwersytetu wileńskiego, wielkiego uczonego i twórcy polskiego słownictwa chemicznego. Dorobkiem jego naukowym jest fundamentalne dzieło „Teorie jestestw organicznych”, podręcznik chemji, oraz liczne rozprawy i artykuły, umieszczane w ciągu 30 lat w czasopismach „Dziennik Wileński”, „Pamiętniki Towarzystwa Lekarskiego Wileńskiego”, „Dziennik Medycyny, Chirurgji i Farmacji” i „Wiadomości Brukowe”.

„Wiadomości Brukowe” były organem klubu literacko-towarzystwa, zorganizowanego wśród profesorów uniwersytetu i innych wybitnych osobistości. Klub ów przybrał nazwę „Towarzystwa Szubrawców”, a jednym z jego założycieli i pełnym życia oraz humoru prezesem był Jędrzej Śniadecki, występujący tu pod klubowym pseudonimem „Sotwaros”. Ciekawe są zarówno dzieje tego pamiętnego w dziejach naszej obyczajowości stowarzyszenia, jak również i zakres oraz cele jego działalności.

Nie ulega już dziś wątpliwości, że „Szubrawcy” wzorowali się pod niejednym względem na wolnomularzach. Przypomnijmy sobie w najogólniejszych zarysach ceremoniał obrzędowy, tajemniczo-sowizdrzałski, obowiązujący na „schadzkach” szubrawskich. Przed mównicą stół, dywanem przykryty. Na nim emblematy szubrawskie: gasior z wodą z napisem aqua fontis (woda źródłana), symbol wstrzemięźliwości, nieodstępna łopata z wyrzytym na niej godłem: tacere qui nescit, nescit loqui (kto nie umie milczeć, nie umie i mówić), co oznaczało powagę i rozmyślanie, a obok dzwonek, szklanka i podręczniki historii i geografji. Te oraz inne szczegóły żywo przypominają nam zachowane opisy łóż wolnomularskich z całą symboliką młotów, kielni, kolumn, trójkątów i t. p. Podobieństwo okaże się jeszcze jawniejsze, gdy porównamy rytuały przepisane przy przyjmowaniu nowych członków w obu stowarzyszeniach. Cały ten, błazeński nieco, ceremoniał przemówień przesadnie humorystycznych, wypowiedzianych przez „dygnitarzy” szubrawskich, „zaletników” i „witajników”, obrzędów dziwacznych itp., bierze źródło w obrzędach masonskich, towarzyszących wprowadzaniu do loży każdego nowego brata.

Wreszcie i wszystkie inne szczegóły współżycia szubrawskiego: słynny „kodeks”, organizacja zarządu, liczni „dostojnicy” i „urzędnicy”, przeżywanie się pseudonimami z mitologii litewskiej, której sami dobrze nie znali, z tradycyji wolnomularskich biorą początek.

Na opinię publiczną oddziaływali „Szubrawcy” artykułami zamieszczanymi w „Wiadomościach Brukowych”, z łamów których często przemawiał dowcipny i intere-

1818.

## WIADOMOŚCI

Wilno w Sobotę



Leci a leci.

## BRUKOWE.

Dnia 25 Maja.

### SZLACHCIC NA ŁOPACIE

*Calemu Towarzystwu Szubrawskiemu zdrowia dobrego i pomyślności!*

Com przyrzekł światu i sobie w 71 numerku brukowych wiadomości, dotrzymałem świątce. Posłałem wam na ś. Jerzy porządny raport o majątkach ziemskich, arendowanych przez starozakonnych, tak w Litwie, jako i Koronie. W oddzielnej rubryce znajdują się imiona, nazwiska, honory i dostojności tych właścicieli, którzy swoje ziemskie majątki, dzieciom Izraela wypuścili w posessyę; w rubryce starozakonnych posessorów, są dokładnie wypisane ich nazwiska i dawniejsza professya, z której się utrzymywali; w ostatniej zaś rubryce mieszczą się nazwiska majątków arendowanych przez starozakonnych paszych ziemców, z wyrażeniem gubernii, powiatu i parafji. Za cóż nie oglądam, za cóż nie czyta pu-

munikowałem. Powiadają, żeście nieprzyjaciele dobra publicznego, wtenczas, kiedy się znalazł Szlachcic, który dla nauki i naśladowania powszechnego, podał do wiadomości nowo wynaleziony sposób szczęśliwego gospodarowania w kraju; wtenczas wy, moi panowie, technicy zazdrością ku tej przemysłnej klasie obywateli, starannie przed światem jego o dobro kraju zasługi ukrywacie. Po części i ja byłem z nie-mi tegoż zdania, że od niejakiego czasu nie rządźcie się już prawidłami sprawiedliwości. Pozwólcież, abym wam, choć w krótkości, wyliczył zasługi starozakonnych, w nowym ich zawodzie wiejskiego gospodarowania. Aby chłopów uczynić pilnymi w postrzeganiu dobra pańskiego, pracowitymi i wesolymi: uwalniaj ich od kłopotu ustawicznego czuwania nad własnym dobytkiem, płacąc ich każdą drobną usługę, a to nie pańskimi obietnicami, ale rzeczywistą, w kraju wielki kurs mającą monetą, to jest: *czarką gorzałki*. Tym sposobem,

Karta numeru 77 „Wiadomości Brukowych”.

sujący „Sotwaros”. Gromiono tu lekko, zabawnie, a zawsze nieskazitelną polszczyzną, wady i nałogi społeczeństwa, jak rozrzutność, karciarstwo, pijaństwo, źle zrozumianą dumę szlachecką i fałszywą miłość ojczyzny. Przecież to właśnie w celu regularnego wydawania Wiadomości zorganizowali się „Szubrawcy”, zobowiązując przytem każdego z pośród siebie do zasilania pisma płodami swej myśli i dowcipu.

Całkowity zbiór Wiadomości w ilości 287 numerów, które w ciągu lat sześciu (1816—1822) ukazywały się na bruku wileńskim, przechowuje się do dni dzisiejszych w bibliotece ordynacji hr. Krasieńskich.

Drobne, niepozorne tomiki, na szarym, bibulastym papierze drukowane, z rysunkami humorystycznymi i emblematami u góry „numerków”, czynią dziwne wrażenie. Z poza wszystkich dziwactw i ozdób barokowych, z poza wszelkich zrazu zabawnych, potem powtarzających się aż do znudzenia pomysłów satyryczno-alegorycznych (listy z krain egzotycznych i podróże po niebysza-

kastowych, zaśniedziałego konserwatyzmu, obskurantyzmu umysłowego, tytułomanji, podróżomanji i innych „chorób szlacheckich”, przygotowując w ten sposób grunt pod zasiew zdrowego ziarna.

Ale jako ludzie, którzy wyszli z łona racjonalizmu XVIII w., nie rozumieli ducha czasu i stanawszy na martwym punkcie liberalizmu, nie poszli dalej ani kroku. Ośmieszając romantyzm w czambuł wraz z mesmeryzmem, magnetyzmem zwierzęcym i mistycyzmem, sami wydali wyrok na siebie. Może to tylko zbieg okoliczności, ale stało się tak, że rozwiązanie „Towarzystwa Szubrawców” i zamknięcie wydawnictwa Wiadomości Brukowych przypało w tym samym pamiętnym 1822 roku, kiedy Mickiewicz puszczał w świat pierwszy tomik swoich poezyj.

„Szubrawcy” spełnili swe dzieło — i odeszli ku wielkiej zapewne radości tych, których niejednokrotnie dotykało żądło ich satyry.

J. W.



# JAK SPĘDZAM WAKACJE?

5 cennych

nagród!



„Nad Morskim Okiem” — fot. Kazimierz Kłaput, Wadowice.

Na lewo: „Mały ogrodnik” — fot. Andrzejowa hr. Olizar, Rafałówka.

Na prawo: „Żagle” — fot. Adam Bratro, Lwów.



Ogłoszony przez nas w nrze 25 Magazynu „As” z dnia 19 czerwca b. r. „Konkurs na najoryginalniejsze zdjęcie z wakacyj” jest w pełnym toku. Zamieszczamy w tym numerze pierwszą serję nadesłanych zdjęć i przy-

pominamy, że udział w Konkursie warunkowany jest od wykazania się kwartalną prenumeratą „Asa”, zapoczątkowaną nie wcześniej, jak w dniu 25 czerwca br. Na życzenie licznych naszych Czytelników przesuwamy termin zamknięcia Konkursu na dzień **15 października br.** Jest to ostateczna data nadsyłania zdjęć.

ska 17, — oraz dwie nagrody, ofiarowane przez Wydawnictwo Magazynu „As”: Aparat radio-  
wy „T 4 z”, — czterolampowa superheterodyna marki Telefunken i półwyścigowy rower, fabrykat Rybowskiego.

**Pięć najoryginalniejszych zdjęć otrzyma cenne nagrody, którymi są: Aparat Cine Kodak 8 model 20 i aparat Kodak Regent f. 4.5, ofiarowane przez Firmę „Kodak” Warszawa I, Plac Napoleona 5, — dalej wytwórny neseser podróżny, ofiarowany przez Firmę Anasazy Fronecz, Kraków, ul. Florjań-**

Na lewo: „W cieśninie Messyńskiej” — fot. Jan Müller, Tyczyn.



Na prawo: „Tego każda nie potrafi” — fot. inż. Władysław Bugayski, Katowice.





Dokończenie ze str. 15-tej.

otem zbyt szybko się rozprzestrzeniają i powodować mogą różne zaburzenia w równowadze przyrody, po drugie nieruchome ropuchy nie umiałyby łowić pajaków, mieszcących się wysoko w ludzkich zabudowaniach.

Zaproponowano natomiast innego naturalnego łepiciela owych pajaków a mianowicie kalifornijską jaszczurkę (*Gerrhonotus multicarinatus*), której pajaki te bardzo smakują; poza tem umie ona doskonale chodzić po ścianach i połować tam na zdobycz. Użycie tej jaszczurki byłoby tem skuteczniejsze, że zjada ona nie tylko dorosłe, poruszające się pajaki, lecz także nieruchome ich kokony, przez co tem szybciej może oczyszczać mieszkania ludzkie, stając się sprzymierzeńcem człowieka. Niewiadomo jednak, czy wielu mieszkańców Kalifornii zgodziłoby się na wspólny pobyt pod jednym dachem z jaszczurkami, które nie cieszą się naogół sympatją człowieka.

Spółkrewniony z „czarną wdową“ jest azjatycki gatunek (*Latrodectus tredecimguttatus*), również jeden z najjadowitszych pajaków.

Częsty na Kaukazie, nad morzem Czarnem i Kaspijskiem, oraz na stepach kirgizskich i w Turkestanie, gdzie zwany jest „czarnym wilkiem“ lub „Karakurte“; wszędzie budzi postrach, a szczególnie daje się we znaki bydłu, wielbłądom i koniom, rzadziej zaś owcom, które chroni przed napastnikami zarówno bogate runo, jak i grubsza skóra warg. Pajaki te kryją się w trawie i zadają ranki pasącym się zwierzętom, kalecząc ich wargi. Wiele ze zwierząt pada wskutek jadowitego ukąszenia. Człowiek, ukąszony przez tego pajaka, choruje ciężko, nieraz nawet do 10-ciu dni, doznając silnego i nieznosnego bólu wraz z innymi przykremi objawami, towarzyszącymi zatruciu. Zdarza się, że ogólne osłabienie organizmu trwa nieraz dłuższy czas, nawet przez miesiące. Często są zwłaszcza ukąszenia ołowika, gdy ten niebacznie położy się na ziemi, trawie lub skoszonym sianie. Ponieważ pajaki te nie znoszą zapachu skór baranich, Kirgizi i Kałmucy, wypasający bydło na stepach, pokrywają temi skórami miejsca, na których koczują. Często także przez obszary wypasu przepu-

szczają stado świń, którym pajak ów nie wyrządza żadnej szkody, a jest dla nich nawet przysmakiem.

Głośnym był w średnich wiekach pajak tarantula (*Lycosa tarantela*), którego ukąszenie miało wprowadzać człowieka w szatańca, trwający tak długo, póki nieszczęśliwy nie padł martwy. Wierząco też, że tylko taniec przy odpowiedniej muzyce może uzdrowić chorego i przywrócić go do normalnego stanu. Stąd też wziął swój początek taniec „tarantella“. W rzeczywistości pajak tarantula nie jest niebezpieczny dla człowieka i nie groźniejszy od innych pajaków, a ukąszenie jego, podobnie jak ukąszenie zwłaszcza większych pajaków, wywołuje tylko lokalne zapalenie, nie pociągając za sobą zatrucia całego organizmu.

Pajaki, nawet niewinne, nie budzą sympatii u ludzi — przeciwnie, napawają ich odrazą, a niekiedy zabobonnym lękiem. I chociaż nieraz człowiek staje pełen podziwu przed misternie utkana pajęczyną, jednak twórcy jej — samego pajaka, woli unikać.

Dr. Z. M.

Dokończenie ze str. 17-tej.

Ameryka w urządzeniu mieszkań nie lubi programowej i prononsowanej nowoczesności, tak jak Francja, Niemcy, lub nadążająca za nimi w zadysce Polska, ale raczej wzoruje się na angielskim konserwatyźmie wnętrza, przyczem mimo tego uzyskuje nastroje niewątpliwie współczesne. Wydaje się wykluczonem, aby szanujący się Amerykanin urządził się à la wnętrze wybudowanego we Włosie zameczku „reprezentacyjnego“ i siedział na fotelach ze stalowych rur niklowanych. Stara się mieć wnętrze inspirowane formami stylów historycznych, a w braku mebli autentycznych posługuje się nieraz doskonałymi naśladownictwami.

Obok stylu angielskiego bardzo był do niedawna lubiany w Ameryce styl hiszpański t. zw. „Spanish atmosphere“, wyrosły z hiszpańskiej kultury Kalifornii i Meksyku i tamtejszych haciend hiszpańskiej szlachty, a zastosowywany przeważnie z ręcznie i ze smakiem we willach i ogrodach bogatych ludzi na zachodzie.

Toteż i mieszkania grubych ryb filmowych przeważnie urządzone w rozmaitych „nastrojach“, zależnie od gustu właścicieli, były przeważnie dobre jako poziom, a to tembardziej, że powstawały w sferze wpływów wytwórni filmowych, które same wysoko postawiły u siebie sztukę dekoratorską wnętrza stylowego, dysponując pierwszorzędnymi fachowcami w tym kierunku.

Lecz Ameryka nie byłaby Ameryką, gdyby wśród tego naogół wysokiego poziomu bogatych mieszkań nie trafiały się rzeczy niesłychane i wprost barbarzyńskie. Poprostu frapujące pod tym względem jest mieszkanie gwiazdy filmowej Anity Louise, z którego reprodukowujemy parę zdjęć ku uciesze naszych czytelników. Piękność zwykle chroni przed śmiesznością i uczuciem politowania u innych. Jednak nawet niezwykła piękność Anity nie jest w stanie ją od tego uchronić, gdy spogląda się na te zdjęcia i widzi, z jaką godną i zadowoloną miną dawała się fotografować wśród tych pretensjonalnych karykatur, jakimi są wnętrza jej home'u. Nawet poszczególne sztuki jej mebli stanowią same w sobie istne cocktaile stylów lub ich komiczne wynaturzenia. Jeśli Anita Louise w ten sposób urządził jakiś spec od wnętrza, a nie ona sama, to doprawdy można powiedzieć, że „ładnie ją urządził“. Biedne kobiecie, — a wygląda przytem na to, że nie a nie nie „loziumie“ co się stało.

Każdy pokój to inny świat. Jeśliby Anita chciała szarmonizować swą osobę ze swemi wnętrzami, to przechodząc z pokoju do pokoju powinnyby zmienić wiek, płeć, narodowość i wyznanie. Najmożliwszy jeszcze jest pokój jadalny, zaczepiający o nastrój wnętrza angielskiego, z typowo nakrytym stołem, — zresztą niezłym. Bezwzględnie zganić należy przystawianie mebli o przeznaczeniu przysściennem do ścian lustrzanych, których przecież celem jest wywołanie wrażenia, że wnętrze jest większe o całe odbicie. Takie postawienie przekreśla ten efekt, nie mówiąc już o tem, że mebel taki dwój się jako objętość, zmienia kształt, kumulując się wzrokowo ze swem odbiciem. To, że ma dwa razy tyle nóg, ile mu potrzeba, — też mu nie służy. Rozszerzanie wnętrza przez oblustrzenie całej ściany okiennej (nawet pod parapetem okna) całkiem już nie ma sensu, bo w tem iluzorycznym przedłużeniu wnętrza znajduje się luka w postaci okna, przez które widzi się znowu coś całkiem odmiennego, kolidującego rażąco z tamtym efektem i przekreślającego go całkowicie.

Salon Anity wywiera wrażenie pretensjonalności i dysproporcji. Kominiek niedołężnie profilowany, płaski i za wysoki w stosunku do wysokości pokoju, okna w narożniku domu tuż obok siebie, tak, że robi to trochę wrażenie wnętrza w domu budowanym systemem barakowym. Szczegółem okropności jest białe lakierowany rodzaj fortepianu czy klawikordu w stylu Louis XV, którego nogi, zaznaczające swą linią właśnie ten filigranowy styl, równocześnie dostały elephantiasis i są poprostu rozbrajające swoją ohydą i barbarją. Tym nogom dorównują pod każdym względem tapicerskie wycinanki koło okien i drzwi, godne salonu Dulszych.

Fotele przed kominkiem może nawet niezłe, cierpią na samotność i wyglądają, jakby nikt nigdy na nich nie siadał, mimo zachęających polan drzewa przygotowanych przed kominkiem zimą i latem.

Na dobro tego wnętrza zapisać należy spokojne, symetryczne ustawienie grupy mebli pod dużym oknem, t. j. kanapy między dwoma bliźniaczymi stolikami, niezłych lamp i wazonów. Pokrycie tych mebli o dobrym kształcie — fatalne.

Budoir na pierwszym piętrze ma charakter dziewczęcy i niewinny: życzymy uroczej właścicielce, aby jaknajdłużej dzieliła z nim te cechy. Ale tu dopiero króluje cocktail meblowy. Podrutki dwóch Ludwików,

XV i XVI-ego, gryzą się dzielnie z empirowymi podrzutekami uzurpatora Napoleona. Taburet Ludwik XV, z ramą obitą materiałem, budzi głębokie zastanowienie, gdzie uciekać.

Biurko Ludwik XVI w bardzo złym guście; sądząc po karle, które przed nim stoi, służy do pisania na cztery ręce. Filuterna zagrodka na temże karle byłaby wprost nie do zniesienia, gdyby nie to, że budzi w naszej wyobraźni miłe skojarzenie z osobą właścicielki. Stoliczek pod oknem jest zupełnie dziwadłem. Lampa u sufitu horrendalna. Sądząc po tem wszystkim, obraz, który wisi na ścianie napewno nie jest Rafaelem.

Kończymy nasze obserwacje, — jak zwykle — w sypialni. Nastrój pustki i goliżny. Komoda Louis XV, zagradzająca drogę do sypialni-złudy, widocznej w lustrze, jest bodajże jedynym dobrym meblem, — wybaczylibyśmy jej nawet, gdyby była falsyfikatem. Nie mamy do niej żalu, że ma osiem nóg, bo to nie jej wina, lecz tego, kto ją tak na lustrze postawił. Stoliki „to w to“ w rogu pokoju zaznaczają do fotografii, czem są i co potrafią. Widoczne w lustrze łóże Anity — to poprostu huśtawka dla wyobraźni. Lampa u sufitu oparta na znanym motywie wiszącego tortu urodzinowego z czterema superświecami.

Jedno jest pewne, że malarzom nie daje zarobić uroczą Anita. Charakterystycznym jest również brak zupełny tkanin na ścianach oraz dywanów. Czyżby względy praktyczności i czystości? Ale w takim razie poco tyle niezwykle jasnych portjer i pokryć na meblach; te napewno nie są praktyczne.

I jeszcze jedno: mieszkanie to przypomina ubranie, które wyszło z chemicznej pralni i dezynfekcji. Nic w niem niema z emanacji właścicielki. Czy można po niem coś o niej sądzić? Chyba, przyjdzie mi wycofać na początku wypowiedzianą maxymę: „Pokaż mi... i t. d.“. Jedno jednak jest pewne: Anita Louise jest naprawdę bardzo piękną kobietą. Dlatego też, gdybym był jej gościem i zapytała mnie, co sądzę o jej home, byłbym przez chwilę zakłopotany, lecz odpowiedziałbym: „Gdyby Pani tu nie było, nie miałbym poco przychodzić, skoro zaś Pani tu jest — nie mogę nic innego widzieć i podziwiać“. A potem pomyślałbym, że jeszcze prócz niej, piękne są w tem mieszkaniu słońce i kwiaty: ale to zasługa cudnej Kalifornii.

Almaviva.







## WE DWOJE...

WALC ANGIELSKI

SŁOWA:  
RYSZARD HAJDUKMUZYKA:  
EUGENJUSZ T. MILER

## Introduction.

*f*

*rall.* *p*

Wio - sny cud po-tę - czył ser - ca dwa, to ja i

ty i tyl - ko my we dwo - je dla nas wiosna wiecznie bę - dzie trwać,

bo szczęście roz - łwie - ra nam swe pod - wo - je. Tys mem ma - rze - niem, szczęściem

ca - łym, Wraz z wio - sną przyszedł, boś wspa - nia - łym od niej da - rem.

*p*

Do mi - ło - ci wzywa tej wiosny słod - ki czar. I na ludzi wpływa, wznie - ca - jąc w ser - cach

zar. Je - dno wiosny tech - nie - nie, ślisknione ser - ca uprząwia w dzie - nie, za - pachem swym u -

pa - ja, do marzeń nas na - stra - ja. Po - daj więc swe dło - nie niech wiosna zła - czy

*rit.* *a tempo*

nas, nie - chaj na jej łó - nie u - pływa słod - ko czas. I o jedno

tyl - ko proszę, gdy czas wiosny, spło - szy w swej pa - mię - ci zawsze za - cho - waj ty mnie!

WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE ZASTRZEŻONE



# Życie jest piękne

STANISŁAW PAGACZEWSKI

NOVELA

NOVELA WYRÓŻNIONA NA KONKURSIE „ASA”

**D**yzurny Ever był zaniepokojony. Posterunek 30 zapowiedział przejście pośpiesznego, więc pociąg powinien być już być na stacji od dziesięciu minut. Tymczasem nie było nawet go słychać. Przed chwilą sygnalizował blok wjazdowy, że o pociągu niema żadnej wiadomości. Zapewne spotkał w drodze jakąś przeszkodę. Świst wichru, niosącego tumany śniegu głuszył ewentualne sygnały. Wogóle diabli nadali dyżur w taką noc. Wichura — poprostu huragan, śnieżycy, zasy, przeszkody na linii. Posterunek 30 telefonował przed godziną, że linia wolna od zasp. Ale wszystkiego można się było spodziewać po takiej śnieżycy. Ever znów nawizował połączenie z blokiem. — „Wiadomo” — odpowiedział mu wysoki głos — „pociąg stoi w drugim odstępie. Przyczyna: zaspą śnieżną. Dzwoniono do S. po plugi”.

Ever powiadomił o wypadku następną stację. Zaklął, gdyż cały porządek nocnego ruchu został wywrócony do góry nogami. Nie będzie można puścić osobowego 613 ani pośpiesznej towarówki o 4.20 nad ranem.

Zawołał do Bensa, siedzącego w drugim pokoju — „Halo, Bens, pośpieszny zasypany na drugim odstępie. Plugi już musiały wyjechać. Powinny przyjechać za parę minut”. Następnie narzucił wytłuszczone futro na ramiona, wziął lampę i uchylił drzwi. W jednej chwili potężny kłęb śniegu wpadł do kancelarii. — „Do diabła!” — zaklął dyżurny i szybko cofnął się do wnętrza. — Wdział futro starannie, na głowę nacisnął czapkę i jeszcze raz wyszedł. Drzwi z trzaskiem zamknęły się. Ever pochylił się i szedł na peron. Wiatr kołysał trzymaną przez dyżurnego lampą. Śnieg opadał na ziemię gestem zwojami, w chwilach, gdy malało napięcie wichury. Wszystko tonęło w miękim, białym puchu, z którego Ever z trudem wyciągał nogi. Ni stąd ni zowąd wyłonił się przed nim cień zwrotniczego. Zetknęli się pierściami. Zwrotniczy złożył ręce w trąbkę i zawołał: „sygnalizują nadejście plugów. Już jadą. Trzy. A to sybie — psiakrew! Wolalibyśmy być pod taką pierzyną, ale w domu, przy babie”.

Nagły atak wichru zmusił ich do ostrożnego stapania. Jednocześnie dał się słyszeć trzask w górze, na lewo od nich. Obaj podnieśli głowy, ale z powodu ciemności nie mogli niczego dostrzec. Pierwszy zorientował się zwrotniczy: „Nadłamało konar topoli w ogrodzie pana naczelnika. Pewnie zerwało druty!”. Ever znów zaklął i wpadł do kancelarii. Istotnie linia telefoniczna w kierunku S. nie działała. Zresztą nie musiało to być jedyne jej uszkodzenie. „Diabli nadali — połączenie zerwane. Nikt w taki czas nie pójdzie naprawiać. Trzeba jednak ludzi pobudzić”.

Kancelaria ze swym oświetlonym oknem stanowiąca jedyny stały punkt w białym chaosie, szalejącym dokoła.

— Ładna historia — rzekł Bens. — Na linii zaspą kilkometrowa. Podobno nazbierało się na urwisku przez dłuższy czas i nagle spadło na tor. Mam rozkaz przyłączenia się do plugów.

— Całe szczęście — mruknął Ever.

Bens wdział na siebie futro, szyję owinał grubym, włóczkowym szalikiem, a na dłonie naciągnął długie rękawice. Szalik Bensa miał swoją historię. Nie mógł narodzić się przez dwa lata. Była to robota jego żony.

wykonywana w dniu najśroźszych letnich upałów. Wychodziła do ogrodu i w cieniu jabłoni pracowicie przepędzała godziny, czepiąc włóczkę z dwóch kłębów, leżących jaskrawymi plamami na głębokiej zieleni traw. Ale robota zawsze urywała się w połowie. Bens się niecierpliwił. Teraz na wspomnienie uśmiechnął się, ponieważ zdawało mu się, że to nie ciepły szal owinał mu szyję, ale kochające ręce żony.

— W poczekalni niema nikogo? — zapytał Ever.

— Naturalnie, że niema. Nikt nie będzie jechał w taką pogodę.

— Plugi przyszły.

Wyszli na peron. Trzy plugi zatrzymały się w obrębie światła, padającego z kancelarii. Z powodu nowego ataku wichury Ever i kierownik plugów musieli krzyczeć do siebie. Bens wskoczył do ciasnej kabiny i machnął ręką. Ruszyli. Ever został sam na pustym peronie. Cieszył się na myśl powrotu do ogrzanego pokoju i radował się w głębi ducha z tego, że na miejscu wypadku pojechał Bens, a nie on. Wracając do kancelarii, potknął się i wpadł rękami w śnieg. „Do diabła!”, zaklął. Było to jego ulubione powiedzenie.

W przedziale drugiej klasy dr. Brawford nerwowo zacierał ręce. Niecierpliwym wzro-

kiem spoglądał na małą walizeczkę, leżącą na półce. Właśnie teraz musiała wydarzyć się ta historia. Właśnie teraz, gdy w miejscowości, oddlegiej zaledwie o dziesięć kilometrów konał jego najserdeczniejszy przyjaciel. „Co robić, co robić”, powtarzał i chodził po ciasnej przestrzeni. Był sam w przedziale. Fioletowe światło, płynące z ukrytej lampki, sączyło delikatny półmrok. Okno było całkowicie zalepione śniegiem i lodem. W odległości dziesięciu kilometrów odbywała się rzecz taka codzienna, taka zwyczajna, a tak tragiczna. Umierał Fred, przyjaciel serdeczny, człowiek, dla którego dr. Brawford nie miał dość słów uznania i szacunku. Mój Boże — przecież żyli w przyjaźni czterdzieści lat. Mieli lat dziesięć, gdy zetknęli się po raz pierwszy na wakacjach. Fred budował tamy na strumieniu, a Brawford udawał, że łapie pstrągi. W ciągu tych czterdziestu lat wiele się zmieniło — ale Fred w dalszym ciągu budował tamy z tą jedynie różnicą, że z żelazobetonu i granitu — a dr. Brawford w chwilach wolnych od zajęć lekarskich łowił pstrągi w pięknym strumieniu, wypływającym w starych lasach koło Snower-seet.

I teraz Fred umiera. Poprostu: kończy się. I do tego stosunkowo młodo.

Dr. Brawford ma również pięćdziesiąt lat, a czuje się młodszym co najmniej o lat dziesięć, jeżeli nie więcej. No, ale wiadomo. Różne są organizmy. Fred stracił zdrowie przy melioracji bagien. Wywiezy błot stały się powodem długiej choroby. Potem przyszło zapalenie płuc i osłabienie serca. Zwyczajna historia. „Ale czemu ten pociąg jeszcze stoi? Co za porządku? Poprostu skandal. I to właśnie teraz, właśnie teraz... Fred umiera... Fred umiera... a my tu stoimy i tracimy czas”.

Rozwarł drzwi i wyszedł na korytarz. Pasażerowie zaglądali przez otwarte okna na pole.

— Minimum dwa metry śniegu — mówił ktoś.

— Więcej. Lawina z tego oto pagórka.

Po śniegu chrzęściły liczne kroki. Kołysały się światła. Jakaś pani w żalobie denerwowała się: „przecież ja nie zdążę na drugi pociąg...”.

Dr. Brawford dostrzegł w jednym z przedziałów kilka par nart. Jechali jacyś turyści. Wpadł na niespodziewany pomysł. Na nartach nieźle swego czasu jeździł. A możeby tak spróbować dostać się na deskach do najbliższej stacji a stamtąd n. p. samochodem?

Ponieważ był człowiekiem, lubiącym swe myśli natychmiast wprowadzać w czyn, więc bez ociągania się wszedł do przedziału.

— Panowie pozwolą — jestem dr. Brawford — przedstawił się. — Mam do panów wielką prośbę. Muszę stąd natychmiast wyjechać. Panowie rozumieją — do chorego. Chodzi mi o narty — o jedną parę. Zostawie na najbliższej stacji. Oto mój bilet...

— Nie potrzeba, doktorze, jesteśmy szczęśliwi, że możemy panu dopomóc. Jestem Stimson — chemik, znam pańskie nazwisko.

— Nigdy tego panu nie zapomnę, panie Stimson — zawołał doktor, ściskając rękę chemika. — To nie drobna przysługa, ale wielka, wielka, nigdy nie zapomnę...

Wybrano deski o odpowiedniej mniejszości dla doktora długości. Wyłoniła się



189



Mój skarb - to dziecko,  
skarbie dziecka - to zdrowie.  
Zdrowie to

JECOROL  
MAG. A. BUKOWSKIEGO

183



jednak kwestja ubrania. Zaradzono temu szybko. Doktor miał buty turystyczne stosunkowo dobrze wchodzące we wiązania — a w walizce ciepły sweter.

Przebiegał się, drżąc z niecierpliwości. Smarował twarz wazeliną i naciągał ciepłe rękawice, pożyczone przez Stimsona. Płaszcz z walizką polecił opiece konduktora z poleceniem złożenia ich w przechodnia na najbliższej stacji. Wywołując zdziwienie swym nieodpowiednim do jazdy na nartach strojem, przeszedł przez napelniony ludźmi korytarz i wyskoczył na nasyp. Owionęło go przejmujące zimno. Zapinał wiązania. Ktoś stanął obok niego i zawołał:

— Hallo, mister, a dokądżeto droga? Nie daleko pan zajędzie.

— Muszę — odparł Brawford, nie protestując się.

— Ale musi pan też cośkolwiek lyknać — ciągnął głos dalej. — Oto jest napój godny bogów. Pij pan śmiało. Sam Jerzy VI lepszego nie pija...

— Jeden lyk — rzekł doktor i pociągnął z flaszki.

— Powodzenia!

— Dziękuję.

Odbił się kijkami, posuwając się w kierunku lokomotywy, oświetlającej swymi reflektorami dużą przestrzeń, zastaną śniegiem. Kręciło się tu sporo ludzi z łopatami, ale praca postępowała niesłyszalnie powoli. Szalejąca bezustannie wichura niszczyła natchemniast wszelką pracę rąk ludzkich. — Śnieg w świetle reflektorów mienił się tysiącami iskerek.

— Za chwilę nadejdą pługi — wołał ktoś do maszynisty.

Wicher prał z wściekłością długimi smugami śniegu.

— Daleko do stacji? — zapytał doktor.

— Cztery kilometry. Niech pan jedzie torem, bo inaczej można zbłądzić — i niech pan uważa na pługi...

Przez jakiś czas było znośnie. Potężne reflektory oświetlały drogę. Narty posuwały się szybko po marznącym z wierzchu śniegu. Wicher wiał w plecy i popychał. Zaraz za zakrętem legła noc. Światła pociągu biegly w pola i wzgórza, tu już było ciemno. Wiatr bił teraz z boku. Brawford czuł, że mróz przejmując go do kości. Biegl szybko, przypominając sobie dawne czasy, kiedy to wraz z Fredem szalał po bajecznych alpejskich terenach zjazdowych.

A teraz co się z Fredem dzieje? Ten ukochany przyjaciel, świetny towarzysz umiera. Żeby tylko zdążyć, żeby zdążyć... Od stacji będzie już tylko sześć kilometrów. Czy tylko znajdzie jakiś samochód?

Coraz częściej wstrząsał się od zimna. Przestał odczuwać palce mimo ciepłych rękawiczek.

Jechał wydłużonym krokiem, myśląc tylko o jednym: aby nie zbłądzić i aby zdążyć. Wiatr chwilami cichł, wtedy doktor przyspieszał kroku i niemal biegl. Deski źle się trzymały, gdyż wiązania były przystosowane do innych butów. Śnieg przemoczył skarpetki i mroził nogi w kostkach. Doktor szeptał z wysiłkiem:

— Żeby tylko zdążyć, żeby zdążyć... choć kilka słów z nim zamienić, żeby choć zobaczył, że przybyłem...

Wargi mu kostniały, na policzkach osiadał szron. Zabolało go nagle lewe ucho — potem przestał je odczuwać.

— Odmroziłem — pomyślał ze złością — ale zaraz zapomniat o tym fakcie i nie stosując najprostszycch przeciwo temu zabiegów, biegl dalej z jedną myślą: byle zdążyć.

Jane oparła głowę o poduszki i przymknęła oczy. Jeszcze czuła na swych wargach smak pocałunku Wiliama. Czuła też jego obecność koło siebie. Siedział przytulony do niej, napelniony szczęściem i pragnący tylko jednego — aby ta chwila trwała jak najdłużej. Światło w przedziale było fioletowe — w tem oświetleniu twarz Jane

nabierała łagodnej bieli. Wiliam objął ją prawą ręką i przytulił swój policzek do jej ciepłego ramienia.

— Powiedz mi: łabuz — rzekła półgłosem do niego.

— Łobuz — szepnął — kochany łobuz...

Objął ją silniej i zbliżył usta do jej warg. Ruszyła przeczącą głową.

— Nie, nie chcę, żebyś mnie całował.

Wiedział, że nie mówi tego poważnie. Lekko przygryzała mu wargi. Wreszcie oderwali się od siebie. Odwróciła twarz ku oknu.

— Nic nie widać — rzekła.

— Uhm. To dobrze — odparł.

Spojrzała na niego z uśmiechem. W fioletowym mroku przedziału zaśnily się jego białe zęby.

— Kocham cię — rzekł prosto.

Przysunął się jeszcze bliżej do niej.

— Kocham cię — powtórzył i spojrzał jej w oczy.

— Nie.

— Tak.

— Nie.

— Tak. Tak... nie pozwolę ci zresztą nic mówić...

Wiliam był szczęśliwy. Błogosławił z całego serca śnieżycę, która zatrzymała pociąg. Niemal modlił się o to, aby pługi także ugrzęzły w śniegu.

— Do rana jest jeszcze dużo czasu — rzekł do Jane. — Jestem szczęśliwy, że mam cię przy sobie — moje małe zwierzątko...

— — — — —

Dr. Brawford zdrętwiałymi palcami odpiął narty w poczekalni na stacji. Przez chwilę nie odczuwał ciepła pokoju, w którym urzędował Ever. Ledwo powiedział zmarznietymi wargami:

— Czy dostanę jakiś samochód?

— Chyba nie — odrzekł po chwili. — Nikt nie będzie chciał jechać w tak djabli czas.

— Zapłacę każdą sumę — powiedział doktor i jednocześnie skrzywił się boleśnie. Odmrozone ucho zaczęło palić, jakby przypiekane ogniem.

— Co panu jest? — zapytał Ever zaniepokojony.

— Nic wielkiego. Odmroziłem sobie lewe ucho.

— Istotnie — jest spuchnięte i czerwone — zauważył dyżurny, ciesząc się znów na myśl, że to nie jego spotkała taka przykra przyгода.

— Boli jak sto djabłów — mruknął doktor, ale nie miał czasu na cackanie się. Wystarczy, gdy zawinę je chusteczką.

Ever wyciągnął z pobliskiego mieszkania robotnika kolejowego i polecił mu wyszukanie samochodu „dla tego niecierpliwca“, jak określił Brawforda.

Zaspany człowiek w brudnej nocnej koszuli poskrobał się w głowę.

— Chyba od wedliniarza... ale nie wiem, czy nie zepsute... Można spróbować.

Przebiegli niedużą przestrzeń i zadzwonili do małego, ceglanego domku. Przez długą chwilę czekali, marznąąc. Wreszcie po trzecim natarciwym dzwonku w sieni pojawiło się światło wraz z małym uprzejmym głosem:

— Zaraz, zaraz, przecież się nie pali...

— Pali się! — krzyknął robotnik.

Drzwi otwarły się niespodziewanie szybko i wyjrzała z nich postać w bieleźnie z rozmiarzcionymi włosami.

— Czego?

— Podobno ma pan samochód — zaczął doktor.

— Nie podobno, ale napewno i sędzę, że to niezbyt właściwa pora na stwierdzanie tego faktu.

— Placę, ile pan zechce za zawieszenie mnie do Snowerseet.

— Daleko — mruknęło niechętnie indywiduum.

— Sześć kilometrów to głupstwo.

— W taką pogodę?

— Głupstwo. Jadę do chorego. Każda chwila jest dla mnie cenna. Jechałem pociągiem, ale ugrzązł w śniegu o cztery kilometry na północ. Przyjechałem na nartach.

— Pociąg ugrzązł? A pan chce jechać samochodem w taki czas?

— Powiedziałem, że nie będę się targował — odparł Brawford i skrzywił się boleśnie. Ucho coraz bardziej bolało.

— Do Snowerseet dobra droga — asfaltowana, wtrącił robotnik. — Nie zalewaj pan.

— A ile dostanę?

— Dużo — zawołał doktor z wściekłością — tylko jedź już pan na miłość Boską! Tam człowiek umiera.

Pierwszy i ostatni argument podział. Właściciel samochodu zniknął w pokoju, przepaszając Brawforda. Po chwili ukazał się w kompletnym stroju. Wziął doktora za rękę i pociągnął go za sobą. Znaleźli się w ciasnym garażu. Dolanie benzyny do zbiornika starego Chevroleta było kwestją paru minut. Motor ruszył, przez chwilę trzeba było czekać aż się rozgrzeje. Wedliniarz ujął kierownicę w dłonie i wyjechał na drogę, kierując się na prawo.

— Prędzej, prędzej...

Maszyna z wysiłkiem pokonywała stromą wyniosłość. Śnieg przestał padać, ale wicher trwał nadal. Uderzając z boku, spychał drobną Chevroletkę na brzeg drogi.

Myśli Brawforda krążyły ustawicznie wokół jednego tematu: czy zdąży.

Stan chorego nagle się pogorszył, gorączka się wzmogła. Niewiadomo, czy osłabione serce wytrzyma ją długo. Od chwili, gdy dostał depesze: „Przyjeżdżaj. Fred chory. Szybko“, nie mógł się uspokoić. Nic dziwnego. Fred był jego najserdeczniejszym przyjacielem. A Brawford, stary kawaler, stawiał przyjaźń ponad miłość. Przypominał sobie chwile, kiedy rozchodzili się pogniwani i rzekomo obcy i chwile, kiedy wracali znów do siebie, nie wspominając ani słówkiem o tem, co zaszło. Przyjaźń trwająca lat czterdzieści, to nie byle co. To rzecz, która może zmienić do gruntu człowieka, nawet najmniej podatnego uczuciom.

Samochód zjeżdżał teraz z góry w kierunku Snowerseet, którego światła były już widoczne. Na samym wstępie do miasteczka utknęli niespodziewanie w sporej zaspie. Właściciel samochodu zaklął soczyście i wyskoczył na śnieg.

— Niema rady. Trza łopat.

Brawford nie miał ochoty na czekanie na pomoc. Weisnął wedliniarzowi pokazany banknot w rękę i nie oglądając się za siebie, pobiegł w kierunku mieszkania inżyniera. To było dosyć daleko — na drugim końcu miasteczka, pod wzgórzem. Przebiegl przez rynek oświetlony dwiema nędznymi lampami i zagłębił się w cień krętych uliczek. Już jest na miejscu. Teraz trzeba zadzwonić. Głośno, żeby odrazu otwarli. Jeszcze raz. Czemu nikt nie idzie... A może to już po wszystkim?... O, teraz ktoś nadchodzi. Dlaczego tak powoli? Śnieg zaczyna znów padać. Mróz zelżał. Kto? To ja Brawford! Doktor Brawford! Ach — to pan. — No, niech pani mówi... no proszę... co jest?

— Niestety. Przed chwilą...

Dr. Brawford musiał chwycić się oblodzonej sztachety. Przez twarz przeleciał mu drobny, ledwo dostrzegalny grymas. Ruch warg. Potem drgnięcie ramiona.

— Proszę mnie zaprowadzić. Chcę widzieć.

Dr. Brawford — pięćdziesięcioletni młodzieniec — jak go nazywano, wszedł do mieszkania swego przyjaciela z poszarzałą twarzą starca.

— Niestety — zaśmiał się Wiliam. — Nie mogę tego zrobić, choćbyś mnie jak najgo-

Dokończenie na str. 31-ej.



# BYCZAJE BRETANJI ZAKŁĘTE W PORCELANIE



Orszak ślubny. Od lewej: Muzykanci, dzieci, państwo młodzi, druhna i druhna...



...rodzice pana młodego, goście weselni (marynarze) i rodzice panny młodej.

Na prawo: ...Wychodzę na ulicę i tu dostrzegam sylwetki czarno odzianych Bretonek — przed chwilą porcelanowych — teraz żywych.

Bretania — północno-zachodnia część Francji — jest w porównaniu z innymi jej okolicami najbardziej folklorystycznie podobna do Polski. Nasi turyści zaglądają tu stosunkowo najrzadziej, a Polaków mieszka w Bretanii niewiele. Zgadza się oni jednak ze mną, że ta kraina, o strojach i obyczajach tak odmiennych od naszych, niemniej jednak posiada wiele podobieństw z Polską — może przede wszystkim w przejawach życia tamtejszej wsi, zamkniętego w sobie i pielęgnującego piękne tradycje.

Do niedawna poznawanie życia mieszkańców tego uroczego zakątka Francji było mi dostępne jedynie wówczas, gdy podziwiałem za szybami setek gablot muzealnych bretońskie cacka porcelanowe, wyrabiane przez liczne zakłady w Quimper. Jak starożytni wykuwali w granicie dokumenty swej epoki, tak Bretończycy opiewają swe życie równie plastycznie, rzeźbiąc pojedyncze figury lub całe sceny w glinie, później na porcelanę wypalanej. Te małe arcydziełka sztuki ludowej odznaczają się swoistym wyrazem i bajecznym kolorytem.

W Bretanii życie ziemi i życie morza sprzegły się w jedną całość, która dostarcza tamtejszym artystom regionalnym rozlicznych tematów do ich rzeźbiarskich kompozycji. Z biegiem lat powstała olbrzymia kolekcja bretońskich figurek porcelanowych, powiększa się z roku na rok o nowy typ

charakterystyczny. Przeglądając je po kolei uśmiechamy się na widok tych, które artysta potraktował karykaturalnie, potem oddajemy się melancholij, płynącej z nastrojowych scen życia rybaków i ich rodzin, wreszcie z zacięciem studiujemy bogactwo strojów regionalnych, oddane z rzadko spotykaną w rzeźbie dokładnością.

Oto marynarz, przebywając na ułopie, weselo przygrywa na harmonii swej wybranej, podczas gdy ona w wysokim czepcu na głowie, uczepiona u jego ramienia, uśmiecha się zalotnie. Druga grupa figurek przedstawia dwie pary, wracające zapewne z jarmarku. Pierwsza konno, druga pieszo. Ci pierwsi z pustymi rękami — drudzy zato prowadzą za sobą bydło, zakupione chyba od tych pierwszych... A teraz osiem oddzielnych grup, tworzących łącznie orszak ślubny. Na czele kroczą muzykanci, przygrywający na charakterystycznych bretońskich instrumentach „bignou” i „bombarde”, za nimi dzieci, dalej państwo młodzi, druhna i druhna, rodzice pana młodego, goście weselni, wśród których niemal z reguły widzimy podchmielonych marynarzy, wreszcie rodzice panny młodej.

Wnet inna grupa rodzajowa przykuwa naszą uwagę: dwie strwożone kobiety, prawdopodobnie żona i narzeczona rybaków, wyczekują nad brzegiem morza na powrót swych ukochanych, który niewiedomo kiedy i czy wogóle nastąpi. Wieczna tragedia żyjących nad morzem i korzystających z jego rozlicznych darów... Ale jeśli jedni giną na swym twardym posterunku — drudzy wracają na ląd i tych widzimy, jak noszą kosze pełne ryb i zatrzymują się na chwilę przed karczmą, gdzie ściiera się życie morza i życie ziemi.

Wymienione figurynki — to chyba najciekawsza część produkcji zakładów w Quimper, które prócz nich wyrabiają całe kolekcje talerzy, wazonów itp., pozostających nieraz pod silnymi wpływami wzorów kolonialnych. Korzystając z uprzejmości dyrektora tych zakładów, zwiedziłem je bardzo dokładnie. Przed 160-ciu laty postawiono w Quimper pierwsze piec. Od tego czasu dużo się zmieniło. Ulepszono przede wszystkim samą technikę wypalania figuryn. Wyrabia się je z mieszaniny specjalnych glin, dobieranych w ten sposób, by tworzyły z późniejszą warstwą emalii możliwie najtrwalszą całość. Tę mieszaninę, po osuszeniu z pomocą centryfugi w gipsowej formie, która pochłania resztę wilgoci, ogrzewa się w piecach mazutowych w temperaturze 1000 st. Następnie każdy przedmiot zostaje zanurzony w płynnej emalii, składającej się z krzemów ołowionych i sodowych, gotowanych w temperaturze 1400 st. Stronę malarską wykonują miejscowi artyści przy pomocy farb, w których znajduje się sproszkowane szkło z różnymi dodatkami. Utrwalanie wymalowanych wzorów odbywa się już w innym piecu, w ciągu 8—12 godzin.

Po zwiedzeniu wytwórni wracamy nad brzeg morza, między małe domki rybackie i tu, wdechując ożywczy powiew słonego powietrza z nad oceanu, podziwiamy sylwetki czarno-odzionych Bretonek — jeszcze przed chwilą porcelanowych — teraz żywych.

Zygmunt Frenkiel. (Paryż).





Nareszcie zażyję kąpie-  
li! — mówi dowcipniś po  
powrocie z nad morza,  
wchodząc do swojej łazienki.  
Jakto? — więc po dłuższym  
pobycie nad morzem, gdzie  
chyba można było dowoli roz-  
koszować się kąpielą, cieszy-  
my się na kąpiel w wannie?  
Wygląda to paradoksalnie, a je-  
dnak racjonalnie urządzonej  
łazienki nie zastąpi zanurzenie  
się w falach błękitnego Adrja-  
tyku, czy szmaragdowego Bal-  
tyku.

„Pokaż mi twoją łazienkę,  
a powiem ci, jakim jesteś“ —  
mówi Amerykanin. Bo łazienka  
estetyczna i racjonalnie wypo-  
sazona świadczy najlepiej o kul-  
turze fizycznej jej właściciela.  
Nie chodzi o to, aby olśniewa-  
ła luksusem, ale aby była celo-  
wo wyposażona. Do takiego  
wyposażenia należy prócz wy-  
godnej wanny kolekcja szczot-  
tek, mydeł, nowoczesny tusz  
elastyczny w miejsce dawnego  
tuszu „deszczowego“, wmuro-  
wana w ścianę szafka na pł-  
szcze kąpielowe, na ręczniki,  
czapkę gumową, pantofle i in-  
ne rekwizyty.

Gdy już zmierzylśmy tem-  
peraturę wody i nasyciliśmy ją  
zawartością gąłki żywicznej,  
lub mineralnymi solami, wcho-  
dzimy do wanny. Po kilkumi-  
nutowym „odleżeniu się“, za-  
czynamy zabieg kąpieli od wy-  
szorowania całego ciała ostrą,  
namydloną szczotką, kierując  
ją od stóp ku górze ciała.

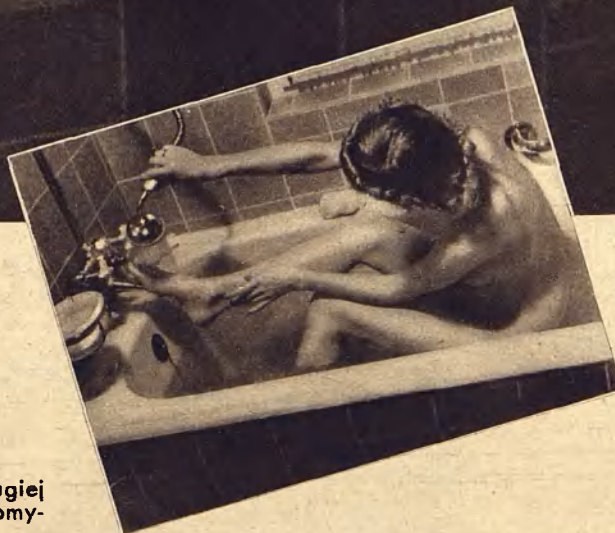
Silny strumień ciepłego tu-  
szu oczyszcza skórę z resztek  
mydlin. Teraz już stojąc, aby  
skóra nie stykała się z wodą,  
nasyconą mydłem, tuszujemy  
się zimną wodą, poczem nacie-  
ramy ciało gąbką lub szczotką  
gumową.

Procedura kąpieli skończo-  
na. Osuszamy skórę szorstkim  
ręcznikiem, otulamy się w  
płaszcz kąpielowy i albo udaje-  
my się na krótki wypoczynek,  
albo — o ile pozwala nam na  
to odporność fizyczna — wy-  
konujemy kilka sprężystych ru-  
chów gimnastycznych.

Codzienna kąpiel według te-  
go programu jest najbardziej  
celową pielęgnacją zdrowia i u-  
rody!

a) Tusz pleców.

b) Szczotka na długiej  
rączce umożliwia obmy-  
cie pleców.



Powyżej: Po gorącej kąpiei  
przecieramy silnie skórę  
szczotką ryżową, rozpo-  
czynając od stóp w górę,  
a następnie... Na lewo:  
...stosujemy zimny tusz, rów-  
nież rozpoczynając od nóg.



DBAJMY ★ O ★ HIGIENĘ!

## Codzienna kąpiel

daje cięciu zdrowie i piękno



*M*asaż nóg jest jednym z najważniejszych, bo dotyczy najważniejszych istotnie mięśni naszego ciała. Wzmacnia on mięśnie nóg i powoduje lepsze krążenie krwi. Masując się własnoręcznie, trzeba poznać kilka zasad ogólnych. I tak nie należy naciskać skóry na kościach i w miejscu stawów. Ruchy rąk przy masażu powinny być okrągłe i dość silne wszędzie tam, gdzie jest dużo mięśni. Auto-masaż nóg wykonuje się w trzech pozycjach. Siedząco, leżąc i stojąc.

Siedząc, masujemy stopę lekkimi ruchami obu rąk, przesuwając je od palców ku kostce. Tym samym ruchem, lecz silnym, masujemy łydkę od kostki do kolana.

Masaż w pozycji leżącej jest jednym z najskuteczniejszych, gdyż udostępnia wszystkie mięśnie uda i przedudzia. Położwszy się na ziemi, ujmujemy nogę przy kostce, wzniesioną pionowo do góry. Zwolniliśmy mięśnie nogi, przesuwamy dłońmi od kostki do kolana i od kolana masujemy silnie udo zwłaszcza od wewnątrz, gdzie w żadnej innej pozycji mięśnie nie są ku temu dostępne. Również i mięśnie łydki masuje się silnie.

W tej samej pozycji masuje się jedną nogę przy pomocy drugiej, mianowicie uderzając wierzchem stopy o spód łydki, tak długo aż poczujemy silniejsze pulsowanie krwi. Przy masażu łydki zgina się oczywiście kolano.

Nakoniec przeprowadza się masaż nóg stojąc, przy oparciu się o wannę w łazience czy o stół w pokoju. Schyliwszy się, masujemy kolejno wierzch łydki i uda, po czym schylamy się jeszcze niżej i obejmując zgiętą w kolanie nogę w kostce, opuszczamy ją w dół poprzez obręcz naszych rąk.

Do masażu należy też klepanie mięśni palcami czy też pięścią. Każdego ranka zastosujemy go do uda i przedudzia, klepiąc palcami lekko i żywo partje przednie nóg, a pięściami uderzając miejsce w miejsce partje nóg o większej ilości mięśni. Wykonujemy to ruchami przyspieszonymi. Kto przy dotyku mięśni przy kostce lub pod kolanem, odczuwa ból, nie powinien się masować wogóle, lecz zwrócić się do lekarza o konsultację.

Masaż jest jednym z najlepszych środków utrzymania kształtu nogi bez zmian, jakie przychodzą z latami, a często początkami swemi sięgają jeszcze lat dziecińczych lub okresu dojrzewania. To też powinni go stosować osoby, zarówno szczytujące się piękną nóżką, jak i pozbawione tego wspaniałego daru natury. Wiele kobiet cierpi z tego powodu, nie przeciwdziałając złemu stanowi rzeczy. Tak postępować nie wolno. Zawsze prawie jest jeszcze czas do zastosowania środków zaradczych. Jednym z nich jest masaż i to auto-masaż, który równocześnie wyszczupla całą sylwetkę przez pracę wszystkich innych mięśni. Kto może sobie na to pozwolić, uzyska dobre rezultaty przez masaż elektryczny czy naświetlania specjalnymi lampami czy aparatami krótkofalowymi. Stosując jednak auto-masaż konsekwentnie i stale, nie zrażamy się brakiem natychmiastowej poprawy, lecz pracujemy wytrwale, a rezultaty objawiają się w miarę formie poprawionego kształtu nóg, przy równoczesnym wzmocnieniu i wyrobieniu mięśni.

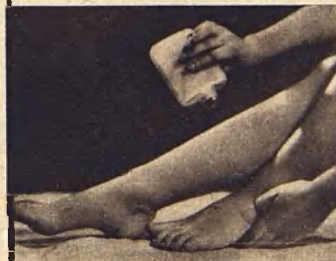
Po większych wysiłkach fizycznych lub gdy trzeba stać dłużej, należy dać nogom odpoczynek i to trzymając je do góry przy leżeniu na wznak. Następnie ujmujemy się każdą nogę po kolei w kostce i obydwoją dłońmi przesuwamy się w stronę kolana coraz mocniej za każdym razem, jak gdyby ściągając krew, zawartą w żyłach, od stopy ku górze. Istotnie dopomaga się w ten sposób odpływowi krwi z nóg, jak i odpływowi płynów limfatycznych, zapobiegając tworzącemu się chwilowo rozszerzaniu żył.



## NOWOCZESNA KOSMETYKA

XVI.

# Masaż N Ó G



Po natarciu nóg kremem pudruje się je lekko talkiem.

Masaż stopy.

Masaż łydki.

Gimnastyka stopy, którą obracamy ruchem kołowym.



## W mieście i na wyjeździe



Niejednokrotnie już zastanawiano się nad tem, co właściwie cechuje dobrze ubranego mężczyznę. Dla jednych okaże się wystarczającym, jeśli ktoś nosi ubrania, które wyszedłszy z pod igły pierwszorzędnego krawcy prezentują się bez zarzutu. Dla drugich — więcej wymagających — takie ograniczenie krytycznego spojrzenia do samego tylko ubrania będzie mało przekonującym i ci wszyscy zawsze oceniają elegancję stroju mężczyzny na podstawie drobiazgowej analizy całości i jej kompozycji. Tu więc dobry krój samego ubrania stanowić może tylko jeden z wielu punktów tej oceny. Znajdą się bowiem między nimi wszystkie inne akcesoria stroju, jak bielizna, krawat, bućki, kapelusz, rękawiczki a nawet spinki. — Ale na tem nie koniec! Tu zapewne niejednen zdziwi się i powie: *Cóż ten Brummel właściwie chce? Przecież o to właśnie chodzi, aby wszystko ze sobą harmonizowało i jako całość stanowiło klasę dla siebie!* Tak, to prawda, ale... To właśnie małe „ale” istnieje i o niem chcę tu pomówić:

Przyjmijmy, że w danem mieście żyje elegant, którego sposób ubierania się został uznany przez ogół jako doskonały wzór elegancji. Cóż się może stać? Pewnego ładnego poranku wyjdzie na ulicę setka mężczyzn, ubranych identycznie tak, jak ów szanowny gentleman i wyobrażających sobie, że za jednym zamachem zdobyli szlify elegantów. Tymczasem takj standard, konieczny w wojsku, okaże się zawsze karykaturą w stroju „cywilów”, bo jest zaprzeczeniem jednej z najważniejszych zasad elegancji, indywidualnego smaku. — W modzie męskiej, jeśli naturalnie chodzi o kompozycję całości stroju, zawsze decydującem będzie wyrobienie sobie osobistego stylu. Drugą, niemniej ważną zasadą jest umiejętne przystosowywanie form stroju do różnych okoliczności życia. Jeśli już o tem mówimy, trzeba wyraźnie zaznaczyć, że nie chodzi tu o podstawowe prawidła, zakazujące np. użycia ubrania sportowego tam, gdzie jest frak wymagany lub nakazujące zastosowanie białej koszuli na wieczór zamiast kolorowej — lecz, że mamy na myśli ową orjentację, która nas upewni, iż np. na wyjeździe, w jakiejś miejscowości klimatycznej nie będziemy wyglądać śmiesznie, przebywając na dancingu w kombinacji sportowej, lub gdy z braku czasu na przebranie zdecydujemy się po nocnej zabawie na wycieczkę samochodem w... smokingu.

**Brummel.**

Week-end ma swoje prawa. To też nie zdziwimy się, widząc mężczyznę wchodzącego w ubraniu sportowem na dancing w miejscowości klimatycznej. — W mieście obowiązują surowsze przepisy, zarówno pod względem kroju, jak i barwy ubrań.







Ensemble z wełny „angora-jersey”, bluzka zapinana na zamek błyskawiczny w zakładki prze-szyte w kratkę, spódniczka z przodu plisowana.

# FILC

## WEŁNA

## FUTRO

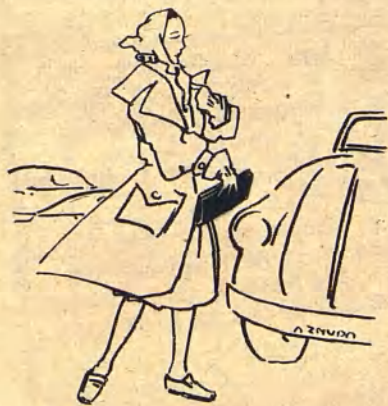
Kobiecey — obramowane są puszystymi, gładkimi, krętymi futrami, we wszelakich barwach i gatunkach. Suknie wełniane przybierane są haftami przeważnie w kolorach czerwonych i czarnych, bordowych i fioletowych. Poza materiałami zielonemi dominują wszystkie odcienie kolorów tabaczkowych, bordowych i popielato-brunatnych. Na wieczór modny jest przede wszystkim czarny aksamit.

Z materiałów na fasony sportowe lansowany jest trykot i jersey, przybrany aplikacjami, haftem stebnowanym itd. Największe powodzenie z futer mają lisy i breitszwance, oraz opasy. Wróciły olbrzymie kołnierze, osłaniające twarz do połowy policzków. W sportowych modelach widzimy oceloty, lamparty.

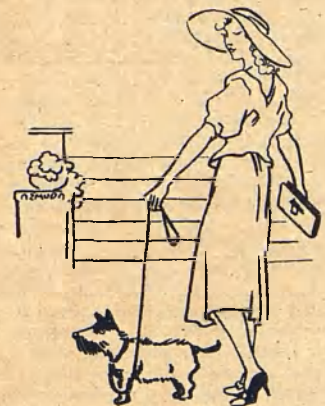
Plaszcz zyskał znowu na samodzielności, zwłaszcza w charakterze okrycia przejściowego; nie uzależnia się jego kroju ani motywów zdobniczych od spodniczki i bluzki, lecz najwyżej harmonizuje się pewne szczegóły wykonania ze suknią. Widziałam bardzo szykowne i twarzowe modele z t. zw.



Suknia z brunatnej wełny boucle, kołnierzyk z angory szydełkowanej lub na drutach. Uzupełnienie stanowi żakiet z jersey'u.



Poniżej: Elegancki i oryginalny model kapelusza z popielatego filcu, przybrany stebnowaną wstążką rypową, noszony do futerka z ocelotów.



**D**roga Zosi! I znowu jestem w Paryżu. Teraz dopiero dochodzę do przekonania, że w piosenkach kabaretowych tkwi dużo prawdy życiowej. — Jakżeż aktualna staje się znowu piosenka „Tylko Paryż, Paryż, Paryż...”! — Powiedziałam ci — istne cuda! Nie mam na myśli ani wieży Eiffla, ani Tuilerjów, ani innych cudów architektury, bo te nie zmieniają się od lat. Ale ta moda. Powiedziałam Ci, określenie, że „ona ubiera się jak jej babka za młodych dni” nie jest teraz bynajmniej rozumiane jako drwiąca satyra, lecz przeciwnie, jako wyraz najwyższego komplementu dla eleganckiej pani. Moda obecna jest niejako wienną kopją przełomu XIX i XX wieku.

Co za przepych! Gdyby tak można przewieźć te cuda, a przede wszystkim mieć fundusze na to, coby się przewieźć chciał! Prześliczne wcięte kostjomy kloszowe, przeważnie z zielonej wełny — zielony dominuje obecnie w zaraniu jesieni, jak gdyby z zanikiem lata chciał się nią nasycić cały świat

barankowej wełny czarnej, kasztanowej i granatowej, kombinowane z białą piką w formie obszywek, wypustek itd.

Muszę Ci jeszcze opisać kilka modeli kapeluszy. Dominuje naturalnie filc jedwabny i matowy. Spotyka się jednak także kreacje z weluru i aksamitu. Przeważnie są to płytkie fasony beretowe lub kapelusze wysokie, o oryginalnych kształtach główki, otoczonej rondem o fantazyjnej linii. Widziałam również kilka bardzo szykownych „tricornów”, oraz bardzo ładne, egzotycznie upięte turbany. Uderzyła mnie szczodrość mody w szafowaniu koronką jako rekwizytem zdobniczym na kapeluszach. Koronka spływająca z tyłu głowy, koronka ocieniająca twarz, koronka jako kokardowe upięcie — oto warjanty ostatnich przebojów.

Kończę już moje sprawozdanie, bo chciałabym je jeszcze dzisiaj wysłać pocztą lotniczą. Żałuję, że nie możesz razem ze mną podziwiać cudów paryskiej mody i pozdrawiam Cię serdecznie

Mary.



# PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka  
obliczone na 3-4 osoby.

**SALATKA W PAPRYCE NA SUROWO.** Z dwóch twar-  
dych jaj wyjmują się żółtka i uciera je z jednym surowym  
żółtkiem i 4 łyżkami oliwy, dolewanej kroplami, następnie  
zaprawia się ten majonez szczyptą soli i cukru oraz sokiem  
cytrynowym. Dalsze dodatki stanowią kilka małych okrą-  
głych marchewek, zwanych karotkami, utartych na cien-  
kim tarle. 2 twarde jaja drobno posiekane i łyżeczka sie-  
kanego kopru. Wszystkie dodatki miesza się z majonezem.  
Kilka dużych zielonych papryk parzy się wrzącą wodą,  
obciąża ze skórki, przekrawa na połówki, wyskrobuje  
i wymywa dokładnie z wewnętrznych włókien i ziaren,  
potem napelnia się każdą połówkę powyżej podaną sa-  
łatką i przybiera z wierzchu kawałkiem pomidora. Pa-  
pryki układają się na szklanym talerzu na podłożonych  
liściach zielonej salaty.

**KNYSZYŃKI** (potrawa wschodnich Kresów). Z 30 dkg  
mąki, 2 dkg drożdży, łyżki masła, łyżeczki soli oraz odpo-  
wiedniej ilości letniego mleka, wybija się zupełnie wolne  
ciasto i wstawia je w ciepłe na godzinę. Filizankę prze-  
branej kaszy tatarskiej parzy się na sicie, następnie  
dodaje się dwie filizanki gorącej wody, łyżkę masła lub  
smalcu i łyżeczkę soli, poczem gotuje się ją, na sypko,  
wstawioną w naczynie z gorącą wodą, lub lepiej jeszcze  
do skrzynki samowarka. Wyrośnięte ciasto rozwałkowane  
się bardzo cienko, pokrywa kaszą i posypuje suto skwar-  
kami z tłuszczu gęsiego lub wytopionego biału wieprzo-  
wego, zwija na niezbyt gruby rulon, który kraje się w ka-  
wałki, te zaś skręca się w „ślimaka“ i układa na tłu-  
szczem natartej blasze, smaruje masłem i po powtórnym  
wyrośnięciu piecze w gorącym piecyku na rumiano. Podaje  
się gorące, jako przystawkę lub do kolacji.

**ZRAZIKI CIEŁEĆE PO WŁOSKU.** 30 dkg czystego mięsa  
cielęcego, przemiela się dwa razy z kawałkiem suchej  
bułki oraz kawałeczkiem czosnku. Do zmielonego mięsa  
dodaje się: 2 żółtka, utarte z łyżką masła lub oliwy, pół  
łyżeczki soli i pieprzu, 2 białka roztrzepane, lecz nie ubite  
na pianę. Masę tę miesza się przez kilka minut aż dobrze  
zbieleje, potem formuje się z niej małe sznycelki, które  
się rzuca na wrzące masło, osmaża na rumiano, przykrywa  
i odstawia do niezbyt gorącego piecyka. Funt pomidorów  
parzy się wrzątkiem, obciąża z wierzchniej skórki i dusi  
na łyżce masła bez dolewania wody, tylko z szczyptą soli  
i cukru. Po 5-8 minutach są gotowe. 15 dkg najcieńszego  
makaronu włoskiego, gotuje się w słonej wodzie przez  
15 minut, potem odciedza się, przelewa zimną wodą, aby  
nie był śliski. Makaron układa się w rant na okrągłym  
półmisku, wewnątrz zagłębienia ustawia się wokół usma-  
żone zraziki, w sam środek zaś nakłada się pomidory. Ma-  
słem odgotowanym z pod zrazików oblewa się makaron.

**PRZYSTAWKA Z WĄTRÓBKAMI.** Mając uduszoną wą-  
tróbkę gęsią lub w ostateczności cielęcą, można szybko  
sporządzić na zimno dobrą przystawkę, do której użyć  
można pomidory lub kwaśne ogórki. Pomidory należy  
obciągnąć z łupki i wydrążyć, ogórki przekroić należy  
wzdłuż i również wybrać z nich ośrodki, aby się utworzyło  
zagłębienie. Farsz do napelniania sporządza się z parę  
razy przemięłonej wątróbki wraz z paru twardymi jajami,  
poczem zaprawia się masę solą i pieprzem. Ustawione na  
szklanym półmisku, napelnione farszem pomidory wzgl.  
ogórki, przybiera się każdy majonezem lub masłem sarde-  
lowym, wreszcie tylko szczyptką i tartą na cienkim  
tarle rzodkiewką. Listki salaty i zielonej pietruszki służą  
do przybrania półmiska.

**JABŁKA PIECZONE A LA GOURMET.** Jabłka na tę  
elegancką leguminę należy wybierać równej wielkości,  
kruche, o kwaskawym smaku. Gładko olupane, wydrąża  
się je specjalnym nożykiem, oblewa sokiem cytrynowym,  
aby pozostały białe i ustawia na muszelkach lub specjal-  
nych ogniotrwałych, szklanych miseczkach. Każde jabłko  
szpikuje się pasieczkami parzonych migdałów, napelnia  
marmeladą brzoskwiniową, kropi suto rumem, osypuje  
grubym cukrem kryształowym i wstawia do gorącego pie-  
cyka, uważając, aby były po upieczeniu miękkie, lecz, aby  
się nie rozpękły. Jabłka podaje się na miseczkach, z  
których się piekły, osobno kruche ciasteczka.

**BOMBA Z MELONA.** Mały, tzw. ananasowy melon, musi  
być dokładnie szczoteczka wymyty i wytarty, gdyż podaje  
się go nieulupany. Ściawszy grubszy kawałek z wierzchu,  
wydrąża się, raczej wycina się nożykiem lub ostrą łyżeczką  
mięsz, który się drobno sieka i miesza z gęstym kremem,  
ubitym na parze z 4 żółtek, utartych z 12 dkg cukru i do-  
lewaniem po trochu winem. (Literatka wina wystarczy).  
Ubity na parze krem kręci się dalej aż do ostudzenia, po-  
czem dodaje się 3 listki żelatyny, rozpuszczonej w troszec-  
kę gorącego wina, (należy precedzić do kremu), miesza się  
z posiekany melonem i napelnia wydrążony melon; me-  
lon stawia się na lodzie na przeciąg 10-12 godzin. Zastu-  
dzoną bombę kraje się wkrzyż na trójkątne części, które  
dla amatorów można pokryć bitą kremówką lub tylko  
skropić rumem.

Sc. Ko.

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI


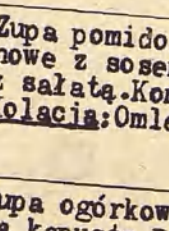
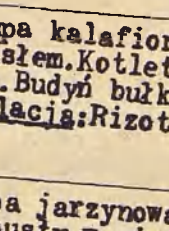
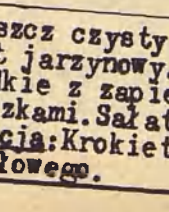
W GOSPODARSTWIE DOMOWYM



Nie mając specjalnego aparatu Wecka, można gotować  
(sterylizować) słoje z kompotami, owijając je papierem  
gazetowym i ciasno stawiając w dużym naczyniu. Pod sło-  
je należy również dać gruby podkład gazet. Na wsi łatwiej  
o siano, więc z dawien dawna gotuje się słoje z kompo-  
tami i sokami owinięte sianem. W mieście gazety spełnią  
doskonale ten sam użytek.

## 7 + DNI + DOBREJ + GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych  
gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 37		Wrzesień		30 dni
NIEDZIELA	4		Zupa ox tail. Przystawka z wątróbki w pomidorach. Dzika kaczka z czerwoną kapustą. Jabłka à la gourmet. Kolacja: Zimne mięso z sałat- ką w papryce.	
ROZALI	5		Rosół z lanym makaronem. Sztu- ka mięsa z sosem ogórkowym. Zraziki cielęce z pomidorami i włoskim makaronem. Kneleki z śliwkami. Kolacja: Knyszyki.	
PONIEDZ.	6		Zupa pomidorowa z ryżem. Kotleciki jarzy- nowe z sosem grzybowym. Kurczę pieczone z sałatą. Kompot mieszany. Kolacja: Omleły z grzybkami.	
WTOREK	7		Zupa ogórkowa z ziemniaczkami. Faszerowa= na kapusta. Pieczeń cielęca zawijana z jarzynkami. Placek kruchy z owocami. Kolacja: Płatki z szynką zapiekane.	
ZACHARIASZA PR.	8		Zupa kalafiorowa. Fasolka szparagowa z masłem. Kotlety wieprzowe z duszoną kapus- tą. Budyn bułkowy z szodonom. Kolacja: Rizotto z groszkiem.	
ŚRODA	9		Zupa jarzynowa purée. Kotlety z włoskiej kapusty w cieście. Ryba w sosie sardelo- wym z makaronem. Strudel z jabłkami. Kolacja: Grzybki z jajami lub ryby wędzone.	
REGINY P.	10		Barszcz czysty z uszkami. Bu- kiet jarzynowy. Rozbratle prędkie z zapiekanymi ziem- niaczkami. Sałatka z owoców. Kolacja: Krokietki z mięsa rosółowego.	
CZWARTEK	11			
NARODZ. NPM.	12			
PIĄTEK	13			
GORGONIUSZA	14			
SOBOTA	15			
IKOLAJA Z Tol.	16			



# HOCKI-KLOCKI

## Rozwiązania z Nru 35-go.

### PO BRIDGE'U.

W pierwszych 18 robach musiało się odbyć po 6 kolejek, przyciem wszysej, prócz Władysława, wygrywali po 2 robry. Tak więc Henryk wygrał  $6 \times 2 \times 3 = 36$  punktów i otrzymał  $\frac{1}{4}$  przegranej Władysława. Pozostali partnerzy zainkasowali 3 razy tyle, czyli 108 punktów w stosunku 90 dla Karola i 18 dla Zygmunta. Władysław wypłacił 14 złotych 40 groszy.

### BRODACZE.

Panowie bez wąsów, to panowie całkiem ogoleni oraz brodacze nie mający wąsów, a więc  $57\frac{1}{2}\% = 55\% + 4$ . Stąd  $4 = 2\frac{1}{2}\%$ , czyli że panów było 160.

### LICZBA KWADRATOWA I SZEŚCIENNA.

Liczbą zarazem kwadratową i sześcienną jest 1,225 (35<sup>2</sup>).

### TAJEMNICE HIGH LIFE'U.

## PAPUGA PANA HRABIEGO

HUMORESKA BOGDANA BRZEZIŃSKIEGO

Wierny Jan był bardzo zmartwiony. Oto pan hrabia oznajmił mu, że się nudzi i że właściwie nie ma do kogo otworzyć ust.

Wierny Jan myślał intensywnie, z nisko pochyloną głową, aż nagle wyprostował się i z radosnym błyskiem w oczach, powiedział:

— Mam pewien pomysł... Gdyby pan hrabia się zgodził...

— Mów wierny sługo — odparł hrabia Olgierd glosem, w którym czaił się spleen.

— Mój znajomy wychował papugę, która mówi nietyko oderwane wyrazy, ale nawet całe zdania — ba! potrafi nawet z sensem odpowiadać, opowiadać anegdotki, a nawet nucić kołysanki.

— To ciekawe — stwierdził obojętnie hrabia.

— Czy ten człowiek może przyjść ze swoim ptakiem? Sądzę, że byłby skłonny sprzedać papugę za dobrą cenę.

Hrabia Olgierd skinął głową.

Wieczorem przyszedł znajomy wiernego Jana, niosąc w dużej klatce niezwykłą papugę.

— Dzień dobry panu hrabiemu! — zakrzeczał ptak. — Ładną mamy pogodę, ale jutro pewnie będzie padał deszcz!

Hrabia uśmiechnął się przychylnie.

— To naprawdę inteligentna papuga — rzekł. — Niech teraz powie jaką anegdotkę.

Papuga nie dała się długo prosić.

— Spotyka się dwóch głuchych — zakrzeczała — „może pójdziemy na ryby?” — mówi jeden — „nie mogę, bo idę na ryby” — odparł drugi — „to szkoda, bo myślałem, że pójdziemy razem na ryby” — krzyczy pierwszy.

### AKCENT DOJRZAŁOŚCI.



— Mam, czy mogę użyć kredki do ust, bo zdaje mi się, że mężczyźni zaczynają na mnie zwracać uwagę...

Hrabia skrzywił się lekko.

— Stary kawał, ale czego wymagać od papugi, skoro nawet zawodowi humorysty opowiadają niekiedy jeszcze starsze...

— Czy pan hrabia pragnie nabyć moją Mimi? — spytał właściciel fenomenalnej papugi.

— No, owszem. A ile ona kosztuje?

— 5.000 złotych! — zawołała papuga.

— To bardzo drogo — powiedział hrabia, krzywiąc się nieznacznie.

— Drogo?... Stary, wracamy do domu! — zakrzeczała papuga, zwracając dziób w kierunku swego właściciela.

Hrabia roześmiał się i już bez słowa zapłacił żądaną sumę. Wychowawca papugi i wierny Jan wyszli — hrabia i papuga zostali sam na sam.

— Czy umiesz po francusku, Mimi? — spytał hrabia.

— Nie, panie hrabio. Popieram wyrazy krajowe...

Hrabia skrzywił się z niesmakiem.

— To bardzo kiepsko. Myślałem, że sobie utniemy kulturalną pogawędkę, a widzę, że mam do czynienia z prostytutką!

## ROZRYWKI UMYSŁOWE

### BUTELKA Z GROCHEM.

Na jarmarku w Kaczym Dolku ofiarowano nagrodę za odgadnięcie, ile ziarenek grochu wyspano do butelki.

Zaden z ubiegających się o nagrodę nie odgadł właściwej liczby, cztery osoby wszakże podały ilości bardzo zbliżone do faktycznej — 163, 169, 178 i 185. Jedna z tych liczb różniła się tylko o 1 od właściwej, druga o 6, trzecia o 10, czwarta o 16. Właściciel butelki zaproponował jeszcze jedną próbę i nieostrożnie podał powyższe odchylenia.

Uczestnicy konkursu niezbyt byli biegli w matematyce, to też w ostatniej próbie tylko jeden podał trafną liczbę. Liczbą tą jest...

— Co?! — zawołała papuga. — Ja prostytutka?? Dobrze! Wobec tego proszę przyjąć do wiadomości, że nie otworzę do pana już nigdy dzioba!

Upływały dni, tygodnie, miesiące — a papuga Mimi milczała, jak zakłeta.

— Skoro Mimi jest nieprzejednana — powiedział hrabia Olgierd — muszę wprowadzić pod mój dach kobietę. Przecież z kimś muszę rozmawiać! Wierny Janie, żenię się z baronówną Knopf!

Baronówna była bardzo piękna, ale miała jedną wadę: gadała bezustanku. Po roku pożycia z żoną, hrabia Olgierd powiedział:

— Wierny sługo, mam pecha. Papuga nie gada zupełnie, a moja małżonka gada, jak radio. O, jakże byłbym szczęśliwy, gdybym miał jakiś powód do rozwodu!

I to rzekłszy, wyjechał na polowanie. Wrócił po trzech dniach, podniecony, rozgorączkowany.

— Wierny Janie — powiedział szeptem — dostałem anonim, że moja żona we wtorek odwiedziła młody markiz Hematogen... Dziś mamy środę, przybyłem więc za późno. A taka była okazja, żeby ich złapać na gorącym uczynku i następnie przeprowadzić rozwód!

— Istotnie — odparł wierny Jan — niestety, wszystko stracone!

Nagle rozległ się skrzeczący głos Mimi:

— A ja to pies, moi panowie? Przecież ja tu byłam przez cały czas i mogę złożyć zeznania!

— Zwycięstwo! — zawołał hrabia Olgierd. — Wreszcie pozbędę się nieznosnej żony! Więc będziesz ze mną rozmawiać, Mimi?

— Niech tam, wybaczam ci! — odparła papuga i dziób jej skrzywił się w uśmiechu.

Gdy w pół godziny później wierny Jan wszedł do pokoju hrabiego, papuga śpiewała kołysankę, a hrabia drzemał w fotelu.

Dokończenia ze str. 24-tej.

rećce prosiła. Nie mogę cię nie całować, toby przechodziło moje siły. Trudno. Jesteśmy młodzi. Kocham cię.

Spojrzała na niego śmiejącami się oczyma.

— Może przejdziemy się, aby oglądać pługi? — zaproponował.

Wyszli, trzymając się za ręce. Zbliżyli się do lokomotywy. W niewielkiej odległości od niej stały trzy sapiące pługi i przy akompaniamencie wycia silników, odrzucały śnieg stalowymi łapani. Robota dobiegała końca. Z lokomotywy, oblepionej śniegiem, wzbijał się w niebo czarny dym.

Sople lodowe, wiszące na niej szybko topniały.

Pomocnik maszynisty rewidował koła.

Wrócili do przedziału wskutek zimna. Zdjął płaszcz z ramion Jane i pocałował ją przytem w kark.

— Czy zamarzaś? — zapytał troskliwie.

— Trochę.

— Zabawię się w kaloryfer.

— To znaczy?

— Ogrzeję cię.

Usiedli i objęli się. Dzięki firankom nikt ich nie mógł widzieć z korytarza.

— ... a gdy będzie wiosna, pojedziemy na piękną wycieczkę w góry. Znam jedno piękne miejsce. Będziesz się opalała nad

strumieniem, a ja będę łowił pstragi. To moja druga namiętność.

— Oprócz jakiej? — spytała.

— Oprócz wiebie.

Pociąg drgnął, zatraskiwano drzwiczki, na korytarzu zaroilo się od kroków. Po chwili szereg pulmanów ruszył w dalszą drogę.

— Życie lubi płać figle — rzekł sentencjonalnie pomocnik maszynisty do palacza, mając na myśli przerwę w ruchu.

— Życie jest jednak tragiczne — powiedział cicho dr. Brawford, spoglądając na martwe oczy przyjaciela.

— Życie jest piękne — szepnął jeszcze ciszej Wiliam do ucha Jane.



# O tak! - ta warta

zobaczyć... przeczytać... usłyszeć...

## NA SCENIE

**KRAKÓW.** Teatr krakowski im. J. Słowackiego rozpoczął czwarty sezon dyrektury prof. Karola Frycza „powtórka” sztuk lekkich, granych u końca ubiegłego sezonu. Jako pierwszą nowość, jeszcze „Jętnią”, dano dobrą komedię bulwarową Verneil'a i Berra pt. „Pociąg do Wenecji”.

Sztuka ta posiada zalety właściwe wspomnianej spółce autorskiej, a więc zręcznie skomponowaną fabułę, lekkość, wdzięk i nawet pikanterję w dobrym tonie. Jest to historia o mężu, który potrafił zgrabnie wywieść w pole małżonkę i jej adoratora, pragnących uciec z Riwieri do Wenecji. Komedia obfituje w kapitalne sceny i posiada zgrabnie zarysowane postacie.

Komedję grają artyści krakowskiego teatru dobrze. Jedyną rolę kobiecą odtwarza nadzwyczaj miło Romana Pawłowska, a dzielnie sekundują jej Czajkowski, Macherski i Wronski. Przygotował sztukę reżyserko J. Karbowski.

Jedną z najbliższych premier krakowskiego teatru będzie doskonała komedia b. artysty i reżysera krakowskiego teatru, Romana Niewiarowicza „Gdzie diabeł nie może”. Sztuka ta, grana już na kilku scenach polskich, cieszyła się wszędzie wielkim i zasłużonym powodzeniem.

**ŁUCK.** Teatr wołyński pod kierownictwem znakomitego aktora i reżysera Janusza Strachockiego rozpoczął już nowy sezon. Zespół teatru stanowią m. in.: Halina Drohocka, Dąbrowski Stanisław, Fertner Edward, Maliszewski Józef, Orłowski Piotr, Purzycki Stanisław. Ponadto w okresie sezonu wystąpią gościnnie wybitne sily teatrów warszawskich.

Reżyserję dzieląc będą pomiędzy sobą dyr. Janusz Strachocki, Stanisław Dąbrowski oraz Kazimierz Rudzki, absolwent kursu reżyserskiego P. I. S. T. Stroną plastyczną teatru kierować będzie artysta malarz dekorator Tadeusz Kalinowski, uczeń prof. Wincentego Drabika i Władysława Daszewskiego.

Nowy sezon zainaugurowało zna-



komite dzieło Karola Huberta Rostworowskiego „Przeprowadzka”, druga część słynnej trylogii po „Niespodziance”, którą Teatr Wołyński uczcił pamięć genialnego poety i dramaturga. „Przeprowadzka” znajduje się w opracowaniu scenicznym dyr. Janusza Strachockiego. Drugą premierą we wrześniu będzie znakomita współczesna sztuka amerykańskiej spółki autorskiej Filipa i Aime Stuartów, w przekładzie Teodory Drzewieckiej „Szesnastolatka”, cieszącej się do niedawna fenomenalnym powodzeniem na scenie Teatru Nowego w Warszawie.

Dalszy repertuar na październik zapowiada nieznaną na tutejszym terenie sztukę cieszącą się wielkim sukcesem na scenach polskich,

pióra Stef. Kiedrzyńskiego „Oczy księżniczki Fathmy”, oraz doskonała nowość ostatniego komediowego repertuaru teatrów polskich i obcych pt. „W perfumerji” węgierskiego autora Miklos'a Laszlo.

## NOWE KSIĄŻKI

„Słupy ogniste”. Znajaczych Pola „Dziewczeta z Nowolipie” uderzy od razu przy lekturze tej powieści nowy ton — ton dojrzałości i szerszego, wszechstronniejszego spojrzenia na świat. Przy najmniej w tej części, która dotychczas się ukazała. Bo „Słupy Ogniste” są zamierzeniem literackim na wielką skalę, zapowiadają się jako nowa, obszerna wielotomowa powieść, obejmująca wielki obszar czasu, całe pokolenie.

Jeśli można wydawać sąd na podstawie jednego, co prawda bardzo obszernego (432 strony!) tomu, to ten nowy cyklowy utwór zapowiada się najciekawiej, najbardziej interesująco z tych wszystkich, jakimi w ostatnich latach obdarzały literaturę polską autorki, od Dąbrowskiej poczynając, na Naglerowej kończąc. Do tej prognozy opowiadania bardzo szeroki, epicki nurt opowiadania, w jaki umiała zamknąć treść Gojawiczyńska. Nie znaczy to jednak, aby opowiadanie było tak „zobiektywizowane”, żeby nie widać było silnego związku z tem, co codziennie niesie życie, „co jest trudem i ciągłym zmaganiem się do niewiadomej mety”.

Najbardziej uderza w nowej powieści nowy ton, różny od tego, jaki dotychczas panował w twórczości Gojawiczyńskiej. To — afirmacja życia. Autorka porzuciła swą jednostronność afirmacyjną, która widziała ostro i wyraziście tylko pewne strony życia, innych nie dostrzegała zupełnie. Zdolność obserwacji rozszerzyła się, stała się wszechstronniejsza.

Akcja powieści zaczyna się przy końcu zeszłego stulecia. Malując dzieciństwo bohatera, Piotra Witkosza, podrzunka — daje autorka bardzo plastyczne i ciekawie postraktowane tło wiejskie. Piotr żeni się, przenosi do miasteczka — i znów mamy kapitalnie odmalowane, wcale nie szare, wcale nie bezbarwne życie małej miejsciny. Pierwszy tom powieści kończy się rozbrojeniem okupantów: bohater zaś powieści, przeszedłszy swój okres wiejski i małomiasteczkowy, wyjeżdża do stolicy — po nowe zapewne triumfy życiowe i nowe klęski.

„Słupy Ogniste”, to jedna z najbardziej dodatnich pozycji w naszej najnowszej literaturze, to powieść warta przeczytania, nacechowana głęboką znajomością duszy człowieka w jej najmniej spodziewanych przejawach.

## NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

od 4 do 10 września.

**Niedziela, 4 września.**

- 12.00 Poranek symfoniczny.
- 16.30 Teatr Wyobraźni — „Dramat o Królowej Jadwidze” — Fr. Teodora Osokora.
- 17.00 Recital na klawesynie w wykonaniu Rachelle Thauvoys.
- 17.30 Tygodnik dźwiękowy.
- 20.05 Gra Ignacy Paderewski — nowe nagrania na płytach.
- 21.00 „W gabinecie pana doktora”, wesela audycja.
- 22.00 „Aida” — reportaż operowy.

**Poniedziałek, 5 września.**

- 16.00 Lekka muzyka włoska.
- 16.45 Miasto, w którym zaklęta jest dusza Japonii — feljton Romana Fajansa.
- 19.30 „Karty z zaczarowanej księgi” — koncert rozrywkowy.
- 22.00 „Pięć wieków dawnej muzyki” — XIII audycja.

**Wtorek, 6 września.**

- 16.00 Koncert Rozgł. lwowskiej.
- 18.10 Paganini w muzyce fortepianowej.
- 19.00 Wolfgang Amadeusz Mozart: Kwartet F-dur.
- 19.30 „Tylko dla dorosłych”; I-sza część koncertu rozrywkowego.
- 21.10 II-ga część koncertu rozrywkowego p. l. „Tylko dla dorosłych”.

**Środa, 7 września.**

- 16.00 Koncert zespołu Pawła Rybasa.
- 18.10 Recital śpiewaczy Heleny Karniekiej.
- 19.30 „Kobieta, wino i śpiew” — koncert rozrywkowy.
- 21.10 Koncert chopinowski w wykonaniu Zbigniewa Drzewieckiego.
- 22.00 Muzyka kameralna od Haydna do Ravela.

**Czwartek, 8 września.**

- 17.00 1.000 faktów muzyki w wykonaniu zwięźszonego zespołu Stefana Rachonia.
- 18.10 „Tu Kujawy, tam Kujawy, są tam chłopcy do zabawy”; wykona chór chłopców szkoły powszechnej Nr. 5 z Torunia.
- 19.00 Edward Grieg — Sonata skrzypcowa Nr. 1 op. 8.
- 19.30 „Wspomnienia z teatru” — koncert rozrywkowy.
- 22.00 Koncert kameralny.

**Piątek, 9 września.**

- 16.05 Potpourri z operetek Pawła Abrahama.
- 18.10 Z fortepianowej twórczości Schuberta.
- 19.00 Recital śpiewaczy Włodzimierza Derwiesa.
- 22.00 Koncert symfoniczny.

**Sobota, 10 września.**

- 16.00 „Gdy mandoliny zadźwięczą”, koncert.
- 17.00 Muzyka taneczna z Dorocznej Wystawy Radjowej.
- 19.30 Koncert rozrywkowy.
- 21.10 Z pieśnią i tańcem przez Wielkopolskę.
- 22.00 Koncert.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa”, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materiałów Redakcja nie zwraca. Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczenia egzemplarzy należy wnosć niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doreczeniowego), a nie wprost do Administracji.